PISMO INFORMACYJNO-KULTURALNE WSCHODNIEJ BIAŁOSTOCCZYZNY

Czasopis

Nr 12 (83) GRUDZIEŃ 1997 CENA 1,50 zł

W NUMERZE:

MARO ZNACZY CHLEB



str. 4

Czasopis

Pismo Informacyjno-Kulturalne
Wschodniej Białostocczyzny
Ukazuje się co miesiąc

Wydawca
Stowarzyszenie Dziennikarzy
Białoruskich

Adres redakcji
15-001 Białystok, ul. Suraska 1,
skr. poczt. 262
tel. 42-11-05

Redaktor naczelny
Jerzy Chmielewski

Zespół redakcyjny
Wiesław Choruży, Sławomir Iwaniuk,
Jerzy Kalina (sekretarz redakcji),
Dorota Sulżyk, Jerzy Sulżyk

Stali współpracownicy
Piotr Bajko, Doroteusz Fionik,
Helena Głogowska, Mikołaj Hajduk,
Sokrat Janowicz, Michał Kondratiuk,
Mirosława Łuksza, Irena Matus,
Michał Mincewicz, Sławomir
Nazaruk, Jerzy Osiennik,
Aleksander Sołowianowicz,
Dorota Wysocka

Kompozycja typograficzna i skład
Jerzy Chmielewski

Druk
Orthdruk, 15-399 Białystok,
ul. Składowa 9, tel. 42-25-17

Prenumerata
Odpowiednio do liczby jednorazowo zamawianych egzemplarzy i okresu prenumeraty należy wpłacić wielokrotność 3,00 zł na rachunek: Stowarzyszenie Dziennikarzy Białoruskich PBK I/O Białystok 370406-6262-2700-1-74.
Nr indeksu 355035
ISSN 1230-1876

Redakcja zastrzega sobie prawo do skrótów, zmian tytułów i redagowania nadesłanych tekstów.

Redakcja nie ponosi odpowiedzialności za treść reklam i ogłoszeń.

Pismo dofinansowane przez Ministerstwo Kultury i Sztuki Rzeczypospolitej Polskiej.

Numer zamknięto 28 listopada 1997 r.

Сакольшчына не горшая за Бельшчыну!



Памятаю са свайго дзяцінства, як пажылыя людзі ў нас гаварылі:

— Ого! Тыя хахлы з-пад Бельска ці Гайнаўкі — яны то рускасці трымаюцца! У цэрквы шчыра ходзяць і дзяцей у школах па-беларуску вучаць. У хатах, на вуліцы, у „пацёнгу", ці аўтобусе, — ніхто па-польску не гаворыць. А нас, тут пад Крынкамі, нядоўга зусім не будзе. Прыйдзе „спыхач" і зраўняе нашы вёскі з зямлёю.

Было гэта пры Гераку. У нашай школе, у Востраве, толькі што зліквідавалі навучанне беларускай мовы (мне ўжо не давялося хадзіць на тыя ўрокі). У Крынках зрабілі ПГР, які з году ў год захопліваў штораз новыя землі, пакінутыя гаспадарамі. У прыканцы 70-х пэгеэроўскія нівы сягалі ўжо амаль востраўскіх агародаў.

Якраз тады даходзіў я да беларускай сведамасці, у чым дапамагла мне перад усім „Ніва", ну і, вядома, яе журналіст, а мой аднавяскоўец і далёкі сваяк, Міхась Хмялеўскі. Кожную пятніцу гартаў я старонкі любімага тыднёвіка і захапляўся жывой беларускасцю, якая плыла ў карэспандэнцыях з Дубіч Царкоўных, Орлі, Махнатага, не кажучы пра сам Бельск і Гайнаўку. Цвёрда рашыў, што як падамся ў горад вучыцца, абавязкова пашукаю сабе адтуль сяброў.

У сярэдняй школе ў Беластоку (Электрычным тэхнікуме) за адной партай нейкі час сядзеў я з сынам начальніка Дубіцкай гміны, якога „першая Салідарнасць" хацела скінуць з пасту, але на шчасце для яго ўвялі ваеннае становішча. Быў ён добрым хлопцам, але калі я пробаваў час ад часу кранаць беларускія або праваслаўныя тэмы, ён палохаўся і рабіў уражанне, быццам не ведае ў чым справа.

Пасля, калі я стаў студэнтам Беластоцкай палітэхнікі, пазнаёміўся з многімі хлопцамі і дзяўчатамі з Бельшчыны. На маё здзіўленне мала хто з іх чытаў „Ніву", а пісаць па-беларуску зусім не ўмелі, хаця амаль усе яны былі выпускнікамі нашых славутых бельліцэяў. Яны, праўда, натоўпамі прыходзілі на атрасіны, на „імпрэзах" спявалі выключна беларускія, рускія і украінскія песні і гаварылі толькі па-свойму. Іхняя адкрытая і жывая беларускасць скончылася, калі пазнаходзілі (на тых жа „імпрэзах") мужаў і жонак і разплыліся ў моры гарадскіх „блёкаў".

Сёння іх родная Бельшчына і Гайнаўшчына ідуць дакладна шляхам Сакольшчыны, даганяючы яе ў апалячанні насельніцтва. Гэты працэс у гарадах ужо выраўноўваецца. І ў вёсках ён падобны, хаця не такі маланкавы. Тут і там людзі цалкам не перайшлі на польскую мову — ўсё яшчэ адны гавораць „па-просту", другія — „па-свойму". Прычым Сакольшчына, пераважна каталіцкая, у больш складанай сітуацыі, бо ксяндзы нават думкі не дапускаюць пра тутэйшую беларускасць. Праваслаўная царква гэта нейкая апора для беларускасці, але гледзячы на паводзіны вернікаў і духавенства, і яна пэўна не зможа супрацьставіцца польскасці.

Дакладна невядома, якім шляхам пойдзе беларускасць Беласточчыны ў будучыні. Адно сказаць трэба — Сакольшчына ўжо ўпісалася ў гісторыю Беларусі неаднойчы намнога значней чым Бельшчына і Гайнаўшчына. І калі палякі надалей будуць даказваць, што на Сакольшчыне не было і няма ніякіх беларусаў, то я ім — за іхнім паэтам — скажу: Wyć to może, ale ja to między bajki włożę.

Юрка Хмялеўскі

Галоўная падзея лістапада!

— прынамсі для нашага сябра, карэспандэнта Польскага радыё ў Беларусі, **Валодзі Паца** з Кнышэвіч (каля Саколкі) і мінчанкі **Тані**, студэнткі Медыцынскага інстытута — гэта іхні шлюб і вяселле, якія ад 7-га лістапада працягваліся тры дні — у Саколцы, Гродне, Мінску і Беластоку.

Маладой пары жадаем шчасця і здзяйснення мараў. Многае лета!

Сябры з „Часопіса"
і Асацыяцыі беларускіх журналістаў у Беластоку

OPINIE

■ *Nie wierzę w zjednoczenie Rosji i Białorusi. Gospodarki obu krajów różnią się w nie mniejszym stopniu jak w Południowej i Północnej Korei.*
Anatolij Czubajs, wicepremier Rosji, w dzienniku „Wriemia" rosyjskiej telewizji publicznej ORT, 1 listopada 1997 r.

■ *Obserwatorzy z ramienia Rady Europy i Unii Europejskiej skrytykowali wewnętrzny rozwój pańskiego kraju. Dotyczy to przede wszystkim przestrzegania praw człowieka i wolności poglądów. Czy uważa pan tę krytykę za uzasadnioną?*
— Opinie o szefie państwa nie zawsze są pozytywne — on musi się z nich uczyć. Co dotyczy opinii Rady Europy, każda instytucja jest uprawniona wyrażać własne poglądy. Trzeba jednak uwzględniać przy tym, że jesteśmy państwem suwerennym i niepodległym, że zgodnie z prawem narodów również nasze państwo ma prawo kształtować niezależną politykę zagraniczną, oczywiście przy uwzględnieniu interesów krajów sąsiedzkich. Co jednak całkowicie odrzucamy, to stosowanie przez polityczne instytucje europejskie podwójnych miar. Gdy mówi się, że nie panuje u nas wolność poglądów i nie przestrzega się praw człowieka, wówczas zwracam stale uwagę przedstawicieli struktur europejskich na fakt, że my nie rozstrzelaliśmy parlamentu, nikogo nie prześladowaliśmy, każdą gazetę można zaś kupić na każdym rogu ulicy. Co natomiast dotyczy praw człowieka, chciałbym przypomnieć, że polegają one nie tylko na prawie do informacji — na Białorusi nie naruszanym — lecz również na prawie do pracy, do życia i wynagrodzenia za pracę.
Prezydent RB **Aleksander Łukaszenka** w wywiadzie udzielonym niemieckiej gazecie „Süddeutsche Zeitung" z 4 listopada 1997 r. (przedruk w tygodniku „Forum", 23 listopada 1997 r.).

■ *Najpewniej już niebawem ostatni Białorusini wyjadą z „Krynek cichego listowia". W poszukiwaniu wiedzy czy pracy trafią do uniwersyteckiej metropolii — wielkiego miasta Białystok. Białorusini odejdą z „Krynek chłodnostopych". Miniatury Janowicza znów jednak ktoś wyda. Może już nie po polsku. Może nie po białorusku; może w Mińsku dekretem prezydenckim trafią na — co rusz zapalany przez polityków — stos. Być może ukażą się w jakimś nowym języku, nowej, zjednoczonej Europy, która świetnie rozumie Janowicza i wie, że „bez pamięci świeczki muszą zgasnąć".*
„Gazeta w Białymstoku", 15-16 listopada 1997 r.

■ *Na Białorusi istnieje pojęcie „drugi budżet". Oczywiście nikt nigdzie go nie uchwala ani nie zatwierdza. Jest tajny, chociaż wszyscy o nim wiedzą. Taka swoista „czarna kasa" Łukaszenki, która powstaje z zysków komercyjnej działalności urzędu prezydenta. Zasoby „czarnej kasy" są porównywalne z oficjalnym budżetem państwa i z niej właśnie opłaca się prezydenckie akcje w rodzaju upominków dla chłopców i nauczycieli i uroczystych zjazdów zwoływanych po to, by sławić prezydenta.*
Wadim Dubnow, komentator rosyjskiej gazety „Nowaje Wriemia", „Gazeta Wyborcza", 20 listopada 1997 r.

■ *— Mniejszości perfidnie wykorzystano jako kartę przetargową przy staraniach o utworzenie Ośrodka Telewizji w Białymstoku — dowodzili Litwini. — Teraz ośrodek o nas nie pamięta. Krytycznie o środkach masowego przekazu wypowiedział się też Jan Syczewski, przewodniczący Białoruskiego Towarzystwa Społeczno-Kulturalnego. — W województwie białostockim 30 proc. mieszkańców stanowią Białorusini — mówił. — Dlaczego na przykład „Kurier Poranny" nie poświęci im trzydzieści procent swoich łamów? Prasa nie stara się łagodzić obyczajów. Gazety włączają się tylko tam, gdzie jest sensacja. Przykłady można mnożyć. Chociażby ekshumacja zwłok w Bielsku Podlaskim, po której ukazały się „brzydkie komentarze". Syczewski podkreślił, że wielokrotnie musiał interweniować w kierownictwie radia czy gazet po to, by ukazała się jakaś informacja.*
Uczestnicy spotkania przedstawicieli organizacji mniejszości narodowych w Puńsku na temat obecności problematyki mniejszościowej w mediach, Kurier Poranny, 24 listopada 1997 r.

■ *Zamykając gazetę „Swaboda" białoruskie władze pokazały, że się boją. Strach — pokazuje historia totalitarnych reżimów — jest złym doradcą. Po zamknięciu ostatniej wolnej trybuny wszystko jest możliwe, dlatego solidaryzujemy się z każdym, kto broni wolnego słowa na Białorusi.*
Adam Michnik, „Gazeta Wyborcza", **Ferenc Gazo**, „Magyar Hirlap" (Węgry), **Pavel Szafr** „Lidove Noviny" (Czechy), **Karol Ježik**, „Sme" (Słowacja), **Jegor Jakowlew**, „Obszczaja Gazieta" (Rosja), „Gazeta Wyborcza", 25 listopada 1997 r.

Na okładce: „Tabor wyrusza w drogę"
Fot. z: Jerzy Ficowski, „Cyganie w Polsce...", Interpress, Warszawa 1989

Dorota Sulżyk

Maro znaczy chleb



Upadł mit Cyganki z kartami w rękach

— *Kiedyś zapisałam w zeszycie trochę słówek cygańskich, ale zaginęły te moje zapiski* — opowiada mi córka pani Danki. — *Kilka słów pamiętam, na przykład, że chleb to maro.* A pewien stary Cygan tak miał powiedzieć rozmawiającemu z nim Jerzemu Ficowskiemu: — *Nie trzeba rozumieć [cygańskiej mowy]. A czy tych ptaków pan rozumie? Taką muzykę i — cygańską, i ptasią — bierze się do siebie i całkiem nie potrzeba jej rozumieć. Prawdę mówią.*

Nie widziałam nigdy taboru, wozów kolorowych ciągnących przez wsie i miasteczka. Zakaz cygańskiego wędrowania, wprowadzony w Polsce w latach 60., nie pozwolił mi na to.

...Cygana powiesili

Co wiemy o Cyganach? To pytanie niesie ze sobą nie zawsze pozytywne skojarzenia. Natrętne Cyganki-wróżki przy białostockim Centralu, Cyganki chodzące z towarem od domu do domu, ich długie, kolorowe spódnice, czarne włosy, smagła cera nie pozwalają zgubić się w tłumie. Małe Cyganiątka wychodzące ze starych, nieciekawych domów, willa bogatego Cygana (który ponoć nie pracuje), dobrze ubrany Cygan handlujący złotem, nieufność, obawa, strach, że oszukają, okradną, źle spojrzą...Z drugiej strony przypominamy piękne, nostalgiczne cygańskie romanse... Obraz zbudowany ze stereotypów. „Nie chodźcie do Cyganów, bo was porwą" (inna wersja: „Jak będziesz niegrzeczny, to przyjdzie Cygan i zabierze") — straszyli i straszą rodzice. (Chyba nie wiemy, że Cyganki tak samo straszą swoje dzieci: „Uważaj, bo cię ten gadzio (nie Cygan) porwie".). Nie narodziły się one ani dziś, ani wczoraj. Już w kronice Marcina Bielskiego z 1564 roku czytamy o Cyganach: „Lud próżnujący, chytry, tajemny, plugawy, dziki, czarny (...). Mowę sobie zmyślili ku kradzieży godną, aby ich nikt nie rozumiał. Stąd są misterni złodzieje, zwłaszcza żony ich, z których kradzieży mężowie żyją. Aby ku temu lepszy przystęp miały, praktykują białogłowom prostym, rada co mówiąc". Opis ten na całe wieki zapadł w świadomość ludzi. „Kowal zawinił, Cygana powiesili" — jak mówi znane przysłowie.

W jednej z cygańskich piosenek śpiewają: „Nie bój się Cygana (...). By się przestać obawiać — należy poznać" (za A. Bartosz, *Nie bój się Cygana*, Sejny 1994.).

„Cyhanki lubiać karty"

„Czego ty „gadzia" pukasz do cygańskiej chaty" — mogłaby zapytać pani Danka, ale nie pyta, tylko wita z uśmiechem.

— *Powróży mi pani?*

— *Nie umiem.*

(Pierwszym szybkim skojarzeniem ze słowem „Cyganka"powinno być wróżenie. Tak bardzo wrosły te obrazki z Cygankami łapiącymi za rękę. Wystarczy przypomnieć słowa białoruskich i rosyjskich piosenek, śpiewanych czasem na biesiadach: „Cyhanki lubiać karty, no karty nie prastyja", „Karty bieriežno uziała, w trawy razłażyła i ljubow jemu swaju jana warażyła", „Cyhanka raz, Cyhanka dwa (...), nawarażyła szto budu śpiawać".). Okazuje się, że wytłumaczenie tajemnicy wróżenia, według pani Danki, jest bardzo proste. — *Jak to jest, że Cyganki potrafią wróżyć? Wymyślają, to wszystko kłamstwa, szukają durnia. Stoją w mieście, wróżą, bo im się nie chce pracować. Moja mama też nie umiała wróżyć. Żadna Cyganka nigdy nie próbowała mi wróżyć. W Kojłach mieszkała ruska kobieta, to ja do niej chodziłam czasem powróżyć. Za 50 tysięcy tyle mi zawsze nagadała...*

Bardziej wnikliwą odpowiedź o trochę podobnym charakterze znalazłam w książce Jerzego Ficowskiego *Cyganie w Polsce. Dzieje i obyczaje.* Okazuje się, że Cyganki to świetne panie psycholog i improwizatorki. Cyganka zwraca uwagę na reakcję swego klienta i w zależności od jego półświadomych odruchów,

od reagowania wyrazem twarzy, orientuje się stopniowo, jaka wróżba jest mu potrzebna. „Jak która Cyganka mądrzejsza, to umie lepiej wróżyć, a jak która głupia, to już tak nie potrafi. Ja na przykład to wróżę psychicznie: poznam kiedy człowiek w dobrym humorze i kiedy zakochany, i poznam z czoła, co też może być za człowiek, czy dobry, czy zły, czy mądry, czy głupi, czy ma silną wolę, czy złamaną. Ja tak wróżę, a inne nie wiem jak wróżą. Jak kto umie, tak wróży. Wtedy wszystko przychodzi do głowy — humor i rozum" — tak zwierzała się Jerzemu Ficowskiemu jedna z cygańskich wróżek.

Upadł więc pierwszy mit Cyganki z kartami w rękach. I gdy tak patrzę na ciemnooką, ciemnowłosą, śniadoskórą panią Dankę w dżinsowej spódnicy do kolan, to wydaje mi się, że jeszcze niektóre z nich przyjdzie mi odrzucić.

Nie chciała Cygana

— *Od maleńkości nie lubiłam Cyganów. Nie wiem, dlaczego. Od maleńkości marzyłam, żeby tylko za Cygana nie wyjść...* I przyszedł chłopiec z Mochnatego w swaty — bogaty, ładny, przystojny, dobry język miał. Od razu wpadł jej w oko. Mieszkali wtedy w olsztyńskim. Wypatrzył ją w Bielsku Podlaskim, gdy z mamą przyjechała do rodziny na święta Bożego Narodzenia. Miała wtedy 16 lat. W takim wieku (a nawet młodszym) u Cyganów dziewczyny wychodziły za mąż. Chłopak nie był Cyganem. Lubił jednak towarzystwo cygańskie, pewnie dlatego, że tak jak oni handlował końmi i złotem. Mama Anastazja pragnęła, żeby córka została w rodzinie cygańskiej. Jeszcze bardziej przeciwni takiemu małżeństwu byli jej starsi bracia i kuzyni mamy. Ale ona na to nie zważała. Narzeczony zgodził się wziąć cygański ślub.

Stanęła w białej sukience z wiankiem na głowie splecionym przez starsze Cyganki przed starym Cyganem („królem?"), który związał chustą ręce młodej pary. W pokoju, który nie wyróżniał się niczym szczególnym, zebrali się starsi Cyganie. „Król" czytał formułę „Rzucam klucz do wody. Tak jak nikt go z niej nie wydobędzie i nic nim nie otworzy, tak i was już nic nie rozłączy". Składali przysięgę, żeby nie zdradzić. Cyganie bardzo surowo przestrzegają tego przyrzeczenia. Pani Danka zna jeden przypadek, że po takiej przysiędze mąż wyjechał. Szybko go znaleźli i musiał wrócić, bo *...u Cyganów nie ma prawa porzucić męża, czy też żony.*

— *U Cyganów jest taki zwyczaj* — uśmiecha się pani Danka — *na weselu sprawdzają pannę młodą, czy jest dziewicą. Jeżeli tak — podrzucają ją do góry, rzucają w nią kwiatami.* Gorzej, jeśli nie, wtedy wesele może zostać przerwane, a małżeństwo nawet stracić ważność. Rodzice dziewczyny muszą zwrócić rodzicom chłopca zapłatę i koszty wesela. Tak było kiedyś, jeszcze za czasów jej młodości. Dziś, jej zdaniem, już raczej tego się nie praktykuje.

Potem było wesele z cygańskimi piosenkami. Cygańskie wesele porównuje do białoruskich i ukraińskich — wszyscy śpiewają i tańczą. — *U katolików już zupełnie co innego...* To, że Cyganie szanują starszych, widać też na weselu. Przy toaście, przed wypiciem kieliszka wódki, całuje się starszego Cygana w rękę. Taki zwyczaj.

No więc, przyszedł chłopiec, bardzo ładny, przystojny, nie Cygan. I została jego żoną.

A potem przyszło życie, które nie pozwalało jej zapomnieć o swoich smutnych stronach. Trzech mężów (nie Cyganów), którzy lubili wypić, upokorzenia, ciężka praca, aby utrzymać sześcioro dzieci, choroby, łzy. (Jest taka cygańska piosenka: „Cygan, który nie płakał, nie jest Cyganem (...). Nic nie jest wart Cygan, który nie cierpiał".). Teraz często się zastanawia, co by było, gdyby wyszła za Cygana. Ma tylko jedną odpowiedź: — *Żyłabym lepiej o sto procent. U Cyganów nie ma takiego pijaństwa.* (J. Ficowski pisał, że liczba alkoholików wśród Cyganów polskich jest znaczna.). *To naprawdę wyjątek, że Cygan dużo pije. Moje koleżanki to super żyły i żyją z Cyganami. Bardzo im zazdroszczę, są szczęśliwe.*

Co ciekawe, małżeństwom mieszanym (z nie Cyganami), które zna pani Danka, również losy się pogmatwały i źle ułożyły. Czyżby była to kara za odejście od wspólnoty?

Wśród nie Cyganów

Los zaniósł ją na wieś białostocką (najpierw w okolice Bielska, Hajnówki, Michałowa, potem znów Hajnówki). Cyganie wolą raczej miasta. Każdy wie, że nie brakuje ich w Białymstoku. Są w Bielsku, Hajnówce (tu pani Danka naliczyła trzy rodziny mieszane i pięć cygańskich), Siemiatyczach. — *Ale są i po wsiach Cyganie* — mówi pani Danka. — *Pod Bielskiem w Sobótce trzy rodziny mieszkają — bardzo porządne, pracują na roli, co niedziela jeżdżą do kościoła, sąsiedzi ich chwalą.*

We wszystkich wsiach, do których trafiała, bardzo dobrze ją przyjęli. — *Nie ma różnicy, że to jest inny, a to inny,*



Zwada w cygańskim obozie

każdy jest człowiekiem — podsumowuje pani Danka. Chwali swoich sąsiadów. Przekonała się, że w olsztyńskim (gdzie mieszkała przed zamążpójściem) ludzie nie są tacy skorzy do pomocy, jak tu w białostockim.

Umiała się dostosować. W pewnym momencie swego życia (kiedy była ze swoim drugim mężem) musiała nauczyć się mówić po białorusku. Dobrze jej poszło. W tej wsi w okolicach Michałowa, gdzie przedtem mieszkała, rozmawiała tylko „po prostu". Dopiero gdy przeniosła się do obecnego domu, niedaleko Hajnówki, zaczęła z dziećmi częściej rozmawiać po polsku. Wtopiła się w otoczenie. I odchodziła od swojej cygańskości (romanipen). Nie było to trudne. Od czasu kiedy wyszła za mąż, była jedyną Cyganką w miejscach, w których przyszło jej żyć. W pracy — nie Cyganki, sąsiadki — nie Cyganki, świętowała tak samo jak w sąsiednich domach. Na chrzciny dzieci Cyganów nigdy nie zapraszała, zawsze tylko sąsiadów.

Czasem cygańskość przychodziła do niej. Na przykład niedawno, kiedy włączyła telewizor. Śpiewały i tańczyły cygańskie dziewczyny w pięknych, kolorowych strojach. To może banalne, ale w takich chwilach płacze. Zaczęły jej się cisnąć wspomnienia.

Nigdy nie jeździła w taborach. Ale pamięta jak Cyganie rozbijali namioty w lesie olchowym niedaleko jej rodzinnego domu na przedmieściu Siemiatycz (— *Ja jestem czysta Polaczka z tych stron* — mówi o sobie.). Pamięta wieczorne ogniska. Długie, fałdziste spódnice, kolorowe chusty, korale Cyganek, które chodziły od domu do domu. I chociaż nie podobało się jej takie tułacze życie, to jednak wspomina tamte obrazki z sentymentem.

Cygańska rodzina

Przypominają jej dzieciństwo. Żyło im się bardzo dobrze i bogato. Ojciec był „królem", czy też „kimś takim" dla Cyganów. Cyganie przyjeżdżali do niego z całej Polski. Pamięta, że miał duży pokój, śliczne perskie dywany na ścianach. Tu przyjmował, ubrany w obszerny rozpinany „szlafrok" z szerokimi rękawami ze złotymi tasiemkami. Przyjeżdżano z problemami, kłopotami, po radę. On radził, wyznaczał kary... — *Była wtedy dyscyplina* — przypomina. Co ciekawe, ojciec nie był Cyganem. — *Najprawdopodobniej* — dodaje pani Danka — *został królem, bo był mądry, miał dobrą opinię, wywodził się z porządnej rodziny i przeszedł kilkumiesięczne „cygańskie studia".* Zmarł gdy miała siedem lat. Wyjechali wtedy z Siemiatycz w rodzinne strony matki — w Olsztyńskie. Tam, we wsi Bażyny, kupili domek. Rozpieszczano ją. Była jedyną córką i najmłodszym dzieckiem w rodzinie, jedyną siostrą wśród pięciu braci. Pamięta jak się cieszyła, gdy pewnego razu powiedziano jej, żeby nie szła już do szkoły po tym, jak nauczycielka wymierzyła jej karę za zrobionego kleksa. Teraz mogła do woli jeździć na saneczkach.

To daleka przeszłość. Matka umarła, trzej bracia nie żyją. Długo po ich śmierci doszły ją słuchy, że za granicą mieli wypadek. Nie wie nawet, gdzie są pochowani. Zostało jej dwóch braci, ale nie wie, gdzie się podziewają, podejrzewa, że też daleko za granicą. Chciałaby ich jeszcze kiedyś zobaczyć.

Porywanie narzeczonej to zwyczaj

Nie zawsze udawało jej się uciec od cygańskości. Odwiedzały i odwiedzają ją Cyganki. Nie wie nawet, skąd niektóre wiedzą, gdzie mieszka. Cyganie mają silne poczucie przynależności do wspólnoty, co odczuwa mocno pani Danka przy każdych takich odwiedzinach. Jedne z nich, sprzed dwóch lat, przyniosły nieprzespaną noc i sporo strachu.

Pod jej dom w sobotnie południe podjechały dwa luksusowe samochody. Cyganie z Białegostoku przyjechali z wódką w swaty do jej najstarszej córki. (Tak jak ją niegdyś, tak i jej córkę wypatrzyli w Bielsku.). Kandydat na męża nawet się jej spodobał, ale córka powtarzała w kółko: „Mamo, ja za Cygana nie pójdę, on za gruby... Ja nie umiem po cygańsku mówić". Widzieli Cyganie, że swaty nie układają się pomyślnie, wysłali więc syna po zakupy, a przy okazji namówili, żeby dziewczyna z nimi pojechała. Po podejrzanie długim czasie, gdy córka wciąż nie wracała, doszła do wniosku, że porwano ją. Pozostawiony przez swatów numer telefonu, następnego dnia, po sprawdzeniu, okazał się fałszywy. Tylko szczęśliwym trafem udało się pani Dance zdobyć prawdziwy numer telefonu, potem adres (ale dopiero, gdy postraszyła porywaczy policją). — *Bo u nas, u Cyganów, jest taki zwyczaj* — wtajemnicza mnie gospodyni. — *Jeżeli przychodzą w swaty i jeśli rodzice się nie zgadzają na małżeństwo, to młodzi uciekają. Jak pobędą ze sobą tydzień, dwa, wtedy rodzice nie mają już nic do gadania. I oni to próbowali zrobić.* W niedzielę, jeszcze przed południem, była przed domem Cyganów-porywaczy. Zrobił na niej wielkie wrażenie. — *Widziałam domy, ale takiego luksusu nie widziałam. Na podwórku pies duży jak stół. Wchodzę i myślę, że ja żywa chyba nie wyjdę od Cyganów. Weszłam od razu z krzykiem „oddajcie mi córkę!". Lusia była zamknięta w jakimś pokoju, ale zaraz przybiegła z płaczem. Mówię ja do Cyganów, żeby nas wypuścili z tego domu, że przetłumaczę córce jakoś, namówię do małżeństwa. Moja córka tak strasznie się im spodobała. I tak wyszliśmy stamtąd.* A jadąc taryfą na dworzec postanowiła, że dopóki będzie żyć, to Cyganów do domu nie wpuści. Ale i tak przyjeżdżają. Przecież nie zamknie przed nimi drzwi.

Od dzieciństwa wymarzyła sobie męża nie Cygana, a jednak łaskawym okiem spojrzała na swatanego córce kandydata. A gdy wcześniej jeszcze pewna cygańska rodzina z Hajnówki upatrzyła jej syna dla swojej córki, była całym sercem przy tym związku. Dziewczyna była bardzo piękną Cyganką, ale nie przypadła do gustu synowi.

Mowa jak skarb

Gdy Jerzy Ficowski w książce „Cyganie polscy", wydanej w 1953 roku, zawarł słowniczek cygańsko-polski (pomagała mu w tym Papusza — największa cygańska poetka), przerażeni Cyganie uznali to za ujawnienie największej cygańskiej tajemnicy — języka. Papusza została dotkliwie pobita i odtrącona przez Cyganów za zdradę. Język długo był (dla większości jest) barierą na drodze do poznania cygańskości. Nic dziwnego, sami Cyganie strzegli go jak skarbu. A jednak nauczył się go Jerzy Ficowski, gdy w połowie XX wieku postanowił wypełnić puste miejsce w księdze etnografii polskiej. „W połowie XX wieku w środku Europy odsłaniają się przed moimi oczami tajemne zakamarki obyczajów, obrzędów, wierzeń i egzotycznej mowy, do których nie zajrzał nikt z moich rodaków przez pół tysiąclecia — odkąd smagli przybysze z Indii pojawili się na naszych ziemiach" — pisał po latach od pierwszej wspólnej wędrówki z Cyganami w „Demonach cudzego strachu". Najbardziej kompetentny badacz spraw cygańskich nauczył się tej „egzotycznej mowy" w przekonaniu, że bez tej umiejętności nie dobrnie do „jądra gęstwiny".

Pani Danka nie udzieli mi lekcji języka romskiego. Gdy pytam ją o jego zna-

jomość odpowiada: — *Znam bardzo malusieńko.* W jej rodzinnym domu rozmawiano po polsku. Nigdy nie próbowała uczyć swoich dzieci języka Cyganów. Wyręczały ją czasem Cyganki wpadające w odwiedziny. I dzięki temu niektóre jej dzieci (te najstarsze) rozumieją trochę język cygański. Pamięta jak Lucynka przywitała ją kiedyś cygańską piosenką.

Alicja (druga córka) nie wie, czy chciałaby poznać ten język. Był już taki czas, kiedy skrzętnie zapisywała cygańskie słówka i piosenki. Ta przygoda z egzotycznym dla niej językiem wynikła trochę przypadkowo. Do pobliskiej wsi przyjechał niegdyś latem ksiądz z „oazą". Biegała do niego z siostrą, a on uczył je romskiego. Znał ten język, ponieważ jego babka była Cyganką. Wytłumaczył jej wtedy, dlaczego warto się go uczyć. Dziś zeszyt Alicji z notatkami gdzieś się zapodział. Może go nawet wyrzuciła. Pamięta zaledwie kilka słówek, na przykład, że chleb to *maro.*

Mówi, że przeszkadza jej, utrudnia życie to, iż patrząc na jej ciemne włosy, oczy, smagłą cerę nikt nie ma wątpliwości, kim jest. Bardzo nie lubi, jak mówi się do niej „Cyganeczka".

Kiedyś w telewizyjnym programie o Romach padło zdanie, że u Cyganów najważniejsza jest tradycja. Pani Danka kiwa głową, kiedy to mówię. Ale nigdy nie myślała o tym, że ta tradycja może być jej i jej dzieciom do czegoś potrzebna. — *Ja nie utrzymuję z Cyganami bliższych kontaktów. Nie mam po prostu do nich zamiłowania* — dodaje.

Nie słyszała o cygańskiej gazecie „Rrom-po-drom", ale bardzo ożywiła się, kiedy się dowiedziala, kto jest jej redaktorem. — *Stacho Stankiewicz? Znam. On jest teraz całym kierownikiem dla Cyganów, pilnuje żeby im krzywdy nie wyrządzili.* (W 1991 roku na prezydenta Światowej Rady Cyganów wybrano literata z Belgradu. Jednym z wiceprezydentów został Stanisław Stankiewicz — Stahiro.). *Było zebranie w Bielsku dziesięć lat temu i tam było powiedziane, że on będzie bronił i pomagał Cyganom. Zaszłam tam na pięć minut — bo mnie to nie interesowało — tylko, żeby Stacha zobaczyć. Kochana, jak oni z bratem Tomkiem grają, jak śpiewają. Lepszych muzykantów to na świecie nie ma.*

Biedny, ale szczęśliwy

„Jadą wozy kolorowe taborami,/ Ej, Cyganie, tak bym chciała jechać z wami..." Wszyscy znają ten szlagier z lat 70. Mało prawdopodobne, żeby Maryla Rodowicz mogła wówczas spełnić swoje marzenia (w 1964 roku wprowadzono urzędowy zakaz prowadzenia taborowego trybu życia). W 1976 roku zaledwie 85 rodzin zdecydowało się wyjechać wiosną w trasę. Skończyła się wieczna tułaczka, (która według jednej z opowieści miała być karą za to, że Cyganie, którzy mieli pilnować Chrystusa — aby go nie pojmano — popili się w karczmie i zapomnieli o swoim obowiązku.). A jednak stereotyp zrodzony jeszcze w romantyzmie towarzyszy Cyganom do dziś. Cygan wędrujący, biedny, ale szczęśliwy, dzięki muzyce, tańcom, śpiewaniu. Po prostu wolny. Pamiętam jak kiedyś na ogniskach, razem z całą klasą z liceum, próbowaliśmy utożsamić się z Cyganami, śpiewając gromko słynne „My Cyganie, co pędzimy z wiatrem...". Była to jedna z nielicznych piosenek, którą znali wszyscy na pamięć.

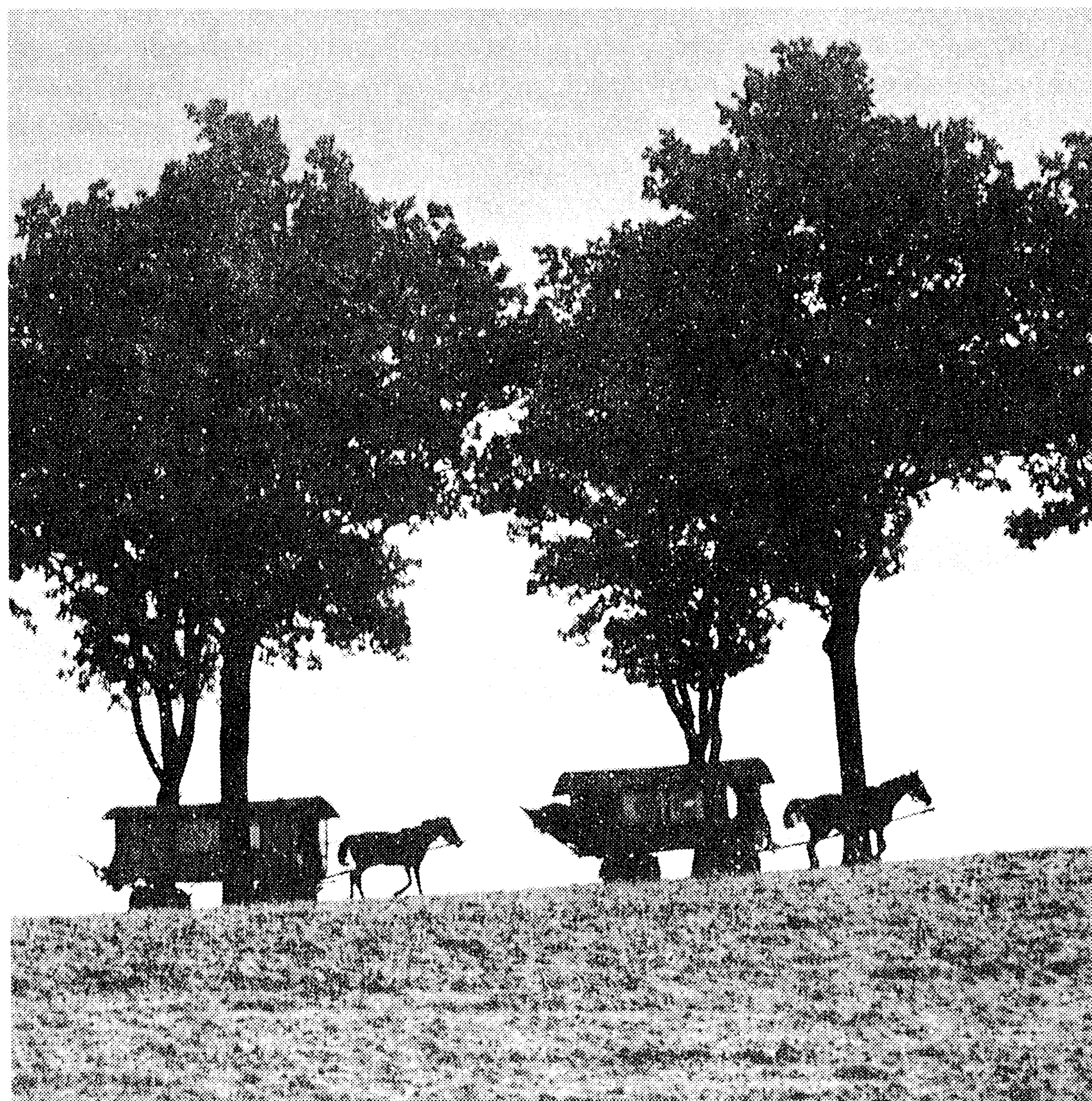
Starsi Cyganie z nostalgią wspominają wędrowanie i spanie pod gwiazdami. Ale kiedy zapytać schnącego z tęsknoty za taborami Cygana, dlaczego nie kupi wozu i nie ruszy w drogę, to się tylko zdziwi i zacznie się tłumaczyć. Że czasy się zmieniły, że zbyt wiele trzyma go na miejscu.

Moja rozmówczyni nie zna piosenek cygańskich, nigdy nie przepadała za śpiewem i tańcami. Jej życie odbiega od tego, które wyśpiewywane jest w piosenkach. Bardzo dobrze żyje się jej w niewielkiej wsi koło Hajnówki. Lubi swoich sąsiadów. Pracuje w klubie. Trochę tu sprząta, trochę pilnuje porządku, kiedy młodzież przychodzi pograć w ping-ponga, czy wspólnie oglądać telewizję. Czasem ktoś organizuje w klubie imprezy — „osiemnastki", „odprawki", potańcówki. Kiedyś myślała, że tylko Cyganie oszukują, ale życie nauczyło ją, że to nieprawda, że wszystko zależy od chrakteru człowieka. — *Prosty przykład. Jak jest ubaw w klubie, to przecież stale muszę pilnować, żeby niczego nie ściągnęli.* I dodaje: — *Cyganie to dzielny i mądry naród.*

***

Pani Danka częstuje mnie pieczonym kurczakiem. Tak jak kiedyś matki, tak teraz jest to jej ulubiona potrawa. Wie, że Cyganie przepadają za kurczakami. Gotowana kura i rosół były najcenniejszymi potrawami mięsnymi w wędrownych taborach. Ciężko idzie mi tłumaczenie się z mojej niemięsnej orientacji. I za nic w świecie nie dałabym się skusić na drugi cygański przysmak — pieczonego w glinie na ognisku jeża.

Dorota Sulżyk



Tabor odjechał na zawsze

Fot. ***z: Jerzy Ficowski, „Cyganie w Polsce...", Interpress, Warszawa 1989***

Bycie sobą



W śnieżny i mroźny schyłek października uczestniczyłem w ekskluzywnym spotkaniu dwujęzycznych pisarzy Europy, które odbyło się w Krakowie, dzięki staraniom tamtejszego Stowarzyszenia Willa Decjusza, przy współdziałaniu czynników rządowych Polski, Niemiec, Francji. Nadano mu wiele mówiącą nazwę „Na skraju obcości", oddającą ducha wielokulturowości naszego kontynentu, narastającego zarazem zjawiska integracji w różnorodności. Każda kultura narodowa, jej język, są bezcennym skarbem, wspaniale bogacącym wizerunek duchowy Europejczyka! — sumowano treści dysput. Wszak i my mamy być w Unii.

Więc w gronie kilkunastu twórców różnojęzycznej literatury pięknej — od Korsyki do Białostocczyzny — rozprawiano głównie o problemach podstawowych pod tym względem, zachowania tożsamości, także językowo-narodowej. W swym wymiarze uniwersalnym po prostu o byciu sobą. Już podczas wstępnej, zapoznawczej wymiany zdań w tym temacie zorientowałem się — z niejaką ulgą w sensie merytorycznym — iż różnimy się między sobą nie tyle w pryncypiach i generaliach, co w sytuacyjnych szczegółach właśnie. Wszędzie zatem podobnie jest, tylko nieco inaczej. Z łatwością wczuwałem się w wypowiedzi Bretończyka czy Korsykanina z Francji, jak i Bułgara czy Turka z Niemiec (trochę brakowało mi obecności — powiedzmy — Łużyczanina z Saksonii albo Fryza, autochtonicznie małych nacji z obrzeży Germanii).

Na pozór może się wydawać, że łatwiej jest z owym byciem sobą Polakowi albo Francuzowi, aniżeli białostockiemu Białorusinowi albo Bretończykowi z okolic Cherbourga. Ale to jedynie powierzchowna oczywistość; mylenie skutków z przyczynami. Wystarczy bowiem nadać temu zagadnieniu szerszy zasięg, bardziej międzynarodowy, by natychmiast zdać sobie sprawę z tego, że w rzeczy samej idzie tu o jakość duchową konkretnej jednostki ludzkiej, każdorazowo o stopień jej rozwoju moralnego i intelektualnego. Mieszkając w granicach — na przykład — państwowości polskiej gładko udaje się uchodzić za Polaka i, nawet, szczerze czuć się nim. Na ile natomiast pozostaje to w zgodzie z najgłębszym jestestwem danej osoby, okaże się dopiero wtedy, gdy znajdzie się ona w obcym otoczeniu. W Niemczech aktualnie przebywa około półtora miliona Polaków, w niektórych miastach wręcz w zwartej masie w peryferyjnych dzielnicach, lecz próby tworzenia chociażby szkółek niedzielnych polskich dla urodzonych tam dzieci dają zupełnie nikłe rezultaty. Zabiegi te spotykają się z poparciem niemal wyłącznie rodzin wysoce inteligenckich i prawie nigdy nie znajdują należytego odzewu w środowisku typowo pracowniczym (tzw. prostych Polaków). To zrozumiałe — przecież ci przeciętniacy wyemigrowali dla dobrobytu i dlatego przekazywanie przez nich pałeczki polskości swemu potomstwu traktują jako coś niekoniecznego albo i grożącego zbytecznymi — ich zdaniem — komplikacjami w przyszłej karierze życiowej synów i córek w Niemczech. Zachowują — owszem — religię, bo to co innego, choć wcale nie upierają się przy niej w razie potrzeby rodzicielskiego błogosławieństwa małżeństw mieszanych. Czyli — w zasadzie — identycznie z nimi jest, jak z Białorusinami w Białymstoku i gdzie indziej. Tu, u nas, państwo polskie gwarantuje nauczyciela języka i literatury białoruskiej nawet dla kilku uczniów w szkole osiedlowej; tam państwo niemieckie również nie żałuje grosza dla potrzeb patriotycznie nastawionych rodziców (Polaków). Lecz tu i tam prawie nie ma chętnych do skorzystania z tej demokracji. Niestety.

W tym kontekście znakomicie pojąłem pewien wyraźny podział wśród gości spotkania „Na skraju obcości", mianowicie na pisarzy-emigrantów i pisarzy-autochtonów. Ci pierwsi z reguły koncentrują się na identyfikowaniu się ze swą nową ojczyzną, która szczodrobliwie użyczyła dlań obywatelstwa i perspektyw na przyszłość. Turek, Włoch, Bułgar w Niemczech chcą stać się niemieckojęzycznymi literatami, bynajmniej nie marząc o ambitnej twórczości w ojczystej mowie. Cóż: ich prawo i nie muszą się z tego tłumaczyć. Mogą co najwyżej dodać w uzasadnieniu tej swojej decyzji, że oto chcą w ten sposób dołożyć własną cegiełkę w burzenie murów obcości wobec rzesz swych rodaków w tym kraju...

Całkiem inną, poniekąd przeciwległą, aurę wytwarzali na tym znamiennym spotkaniu krakowskim pisarze-autochtoni — z Bretonii, Prowansji, Korsyki. Oni są naprawdę dwujęzyczni, równie istotnie tkwiąc w obu kulturach. Jak w moim przypadku język polski, tak u nich francuski — był pierwszym ich kulturalnego wychowania i wiedzy. Do ojczystego zaś dochodzili później, w miarę uzyskiwania dojrzałości ducha i umysłu. Jak i ja, nigdy jednak nie czuli się oni przybyszami. Ani przodkowie. A to ogromna różnica!

Goście z Niemiec reprezentowali sobą — z grubsza biorąc — asymilacyjną opcję. Z tym, ważnym jednakże, zastrzeżeniem, że owo wchodzenie w obszar piśmiennictwa niemieckojęzycznego widzą oni jako ubogacanie go wartościami z krajów swego pochodzenia. Takie podejście jest niezwykle życiodajne dla każdej kultury narodowej, na co znajdujemy mnóstwo świadectw w historii literatur (m.in. białoruskiej, zarówno dawniejszej jak i obecnej).

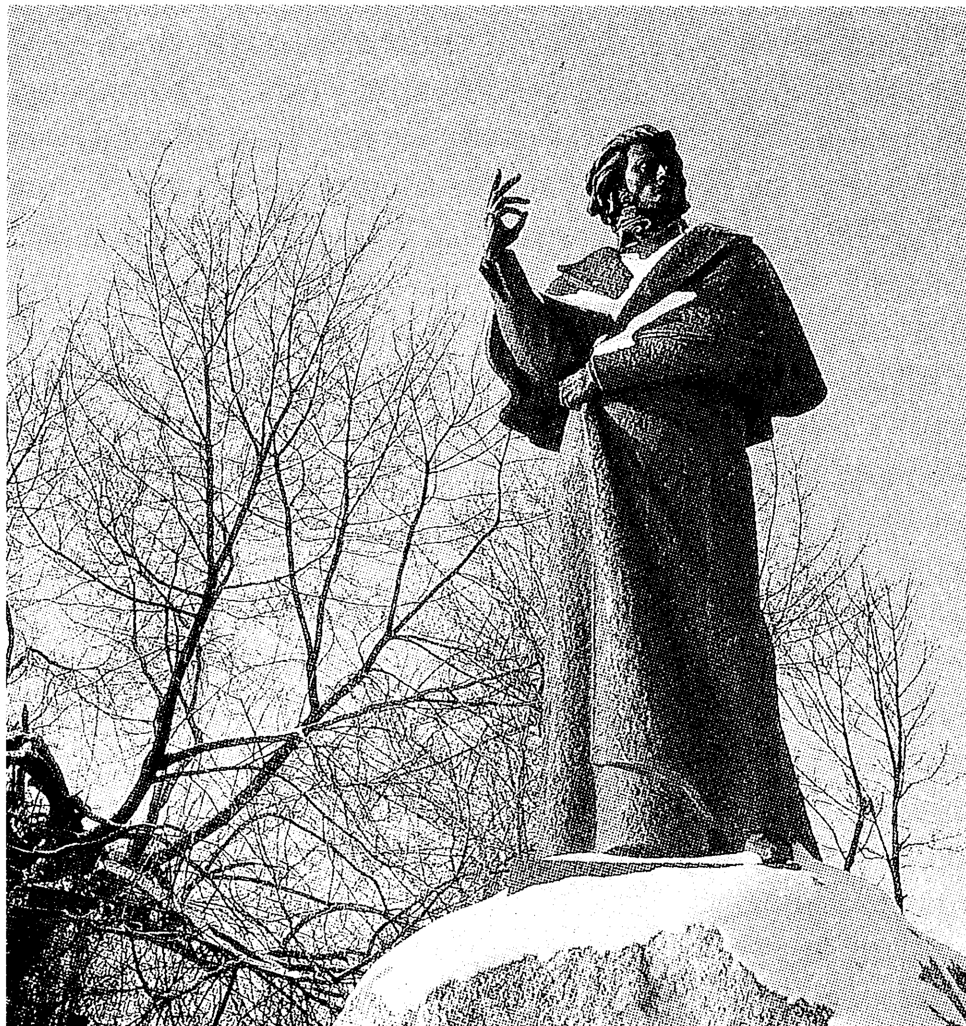
Goście z Francji zaś — z wyjątkiem polskiego poety z Paryża — wywodzili się otóż z budzicielskich ruchów małych narodów. Ich głosy w Krakowie, pretendującym do miana miasta kultury europejskiej, dają się zawrzeć w słynnej tezie de Gaulle'a — „Europa ojczyzn". Rozkwit bretońskości, jak i i prowansalskiego okcytanizmu, nie przeczy interesom państwa francuskiego; wprost przeciwnie! Jest fajnie jak gdyby... Jednakowoż dała mi sporo do myślenia smutna refleksja Bretończyka o zanikaniu obecnie jego mowy ojczystej, nie bacząc na nauczanie jej w szkołach i dopuszczenie do użytku publicznego na poziomie samorządowym. Powiedział: na lekcjach uczniowie mówią po bretońsku, ale na przerwach już między sobą po francusku. Wypisz-wymaluj, jak z młodymi Białorusinami. Jeszcze parę pokoleń wstecz słyszało się francuski w Bretonii ino wśród miastowych...

Staje się to, o czym nie śniło się asymilatorom z Paryża! Ale też nie rozumieli oni mechanizmów trwałości odrębnych etnik: ich rozpad bowiem powodują nie wrodzy nacjonaliści państwowej nacji, lecz utrata przez nie regionalnej samowystarczalności społeczno-gospodarczej wskutek dynamiki cywilizacyjnej samego państwa, które kiedyś występowało przecież niewiele więcej jak w roli poborcy podatkowego i policjanta.

Ba, dziś już i państwa przestają wystarczać sobie, co martwi „prawdziwych Polaków".

Sokrat Janowicz

СНЕЖАНЬ



Помнік Адаму Міцкевічу ў Навагрудку

■ ...гадоў таму

1135 — 862 год. Першыя летапісныя звесткі пра Смаленск як адзін з гарадоў крывічоў, продкаў сённяшніх беларусаў.

980 — 1017 год. Першы раз у летапісах упамінаецца Бярэсце (сённяшні Брэст) як асяродак дрыгавічоў, продкаў цяперашніх беларусаў.

870 — 1127 год. Першы запіс у летапісах пра Гародню (сённяшняе Гродна) як сталіцу Гарадзенскага княства, у якое ўваходзілі землі сённяшніх паўночна-ўсходняй Беласточчыны і паўднёвай Сувальшчыны.

760 — 1237 год. Разгром войскамі князя Данілы Раманавіча крыжацкіх рыцараў пад Драгічынам на Бугу.

635 — У 1362 годзе войскі Старабеларускай дзяржавы (Вялікага княства Літоўскага), узначаленыя вялікім князем Альгердам-Аляксандрам разграмілі на рацэ Сінія Воды (Паўднёвая Украіна) татарскую арду і прагналі яе на Крым і за Дон. Паўднёвыя граніцы дзяржавы ўстанавілі на беразе Чорнага мора.

380 — У 1617 годзе быў заснаваны ў Слуцку ліцэй — адна са старэйшых школ у Беларусі.

330 — У 1667 годзе быў адкрыты першы міжнародны паштовы маршрут праз Беларусь: Вільня — Мінск — Магілёў — Смаленск — Масква.

235 — У 1762 г. нар. Мікалай Вольскі (пам. у 1803 г. у Беластоку), мысліцель, гісторык, літаратар. Выхаванак Галоўнай школы Вялікага княства Літоўскага, супрацоўнік астранома М. Пачобута, бібліятэкар І. Храптовіча ў Шчорсах, камергер караля Станіслава Аўгуста, прысутнічаў пры ягонай смерці. Аўтар папулярна-навуковых публікацый, панегірычных вершаў, рэляцый пра апошнія гады жыцця і смерць Станіслава Аўгуста. У канцы жыцця жыў у Беластоку, пры двары Браніцкіх.

190 — У 1807 г. пам. Казімір Нарбут (нар. у 1738 г.), мысліцель, асветнік, вучыўся ў Вільні і Рыме, настаўнічаў у піярскіх школах, рэдагаваў выданні віленскай друкарні. Як апякун сыноў М. Бжастоўскага (меў маёнткі таксама на Беласточчыне), зведаў Германію і Францыю. Аўтар „Логікі або навукі разважання і разумнай размовы" і „Эклектычнай філасофіі".

160 — 5.12.1837 г. нар. Аляксандр Вярыга (пам. 26.03.1905 г.), хімік, педагог, абсальвент Пецярбургскага універсітэта, вучань Д. Мендзялеева, пашыраў свае веды за мяжой. Даследаваў хімічны склад прыроднага газу, прафесар Новарасійскага універсітэта, аўтар шэрагу даследаванняў па хіміі.

145 — 10.12.1852 г. нар. Вандалін Шукевіч (пам. 1.12.1919 г.), археолаг, антраполаг, этнограф, краязнавец. Вучыўся ў Вільні. Даследаваў археалагічныя помнікі Цэнтральнай Беларусі, раскапаў каля 570 старажытных пахаванняў (магіл і курганоў), збіраў і высылаў у Кракаў, Вільню і Пецярбург свае археалагічныя і этнаграфічныя знаходкі, апублікаваў шэраг прац па гісторыі беларускіх зямель, член шэрагу таварыстваў, у тым Кракаўскай акадэміі мастацтваў.

95 — 2.12.1902 г. нар. Анатоль Вольны (сапр. прозвішча Ажгірэй), расстраляны НКУСаўцамі 29.10.1937 г., абсальвент Беларускага універсітэта, член аб'яднання „Маладняк". Друкавацца пачаў у 1920 г. Раман „Ваўчаняты" (1925), аповесці, апавяданні, гумарэскі, фельетоны, п'есы-жарты: „Міколка", „У агранома", сцэнарыі фільмаў: „Хвоі гамоняць" (1929), „Сонечны паход" (1931) і інш.

90 — 15.12.1907 г. нар. Уладзімір Стэльмах (пам. 27.01.1974 г.), пісьменнік і тэатральны дзеяч, франтавік, на сцэне з 1931 г., выступаў у розных ролях, дырэктар тэатраў Мінска. У 1930 г. пачаў выступаць у друку, пераважна з тэатразнаўчымі артыкуламі. Аўтар п'ес: „Шляхі" (1930), „Крушэнне рэнегатаў" (1931), „Тры крыжыкі" і „Фантан" (1932), пераклады.

85 — 31.12.1912 г. нар. Мікалай Гуціеў, графік, партызан, у выстаўках удзельнічае з 1945 г., у партызанах выканаў больш за 40 праектаў антыфашысцкіх плакатаў, 70 замалёвак з дзейнасці партызанаў і іх партрэты. Сярод твораў: лінагравюры: „Беларусь — край партызанскі", „Памяць" (1969), „Партызанскія будні" (1975), алейная карціна „Нарачанскае лета" (1982).

80 — 25.12.1917 г. нар. Таццяна Заранок, актрыса. З 1931 г. на сцэне Беларускага тэатра імя Я. Коласа, потым у іншых тэатрах. Найбольш значныя ролі: Таццяна („Над Бярозай-ракой" П. Глебкі), Паўліна („Пяюць жаваранкі" К. Крапівы), Люба („Алазанская даліна" К. Губарэвіча), многа ў іншамоўным рэпертуары.

— 26.12.1917 г. нар. Яўген Васілёнак (пам. 23.09.1973 г.), пісьменнік і журналіст, франта-

вік. У друку выступіў з вершамі ў 1936 г., потым перайшоў у прозу, аўтар некалькіх зборнікаў аповесцей і апавяданняў, драма „Каралеўскі гамбіт” (1959), эсэ, нарысы, пераклады.

75 — 9.12.1922 г. адкрыты ў гродзенскім Старым замку Гродзенскі гісторыка-археалагічны музей. Цяпер ён мае 23 экспазіцыйныя залы, а ў зборах каля 105 тысяч экспанатаў, у тым многа з Беласточчыны.

70 — 8.12.1927 г. нар. Віктар Карпілаў, рэжысёр, з 1956 г. у беларускім тэлебачанні, сярод яго пастановак: „Млын на сініх вірах” (паводле У. Караткевіча, 1959), „Далёкая песня” (К. Губарэвіча, 1962), „Сэрца на далоні” (паводле І. Шамякіна, 1964), „Ранак” (тэлеопера Г. Вагнера, 1968), многа іншамоўных.

60 — 26.12.1937 г. нар. Уладзімір Гніламёдаў, літаратуразнавец, прафесар, у друку выступае з 1962 г. Сярод даследаванняў: „Лірычны летапіс часу” (1967), „Сучасная беларуская паэзія” (1969), „Іван Мележ: нарыс жыцця і творчасці” (1984).

50 — 5.12.1947 г. нар. Алесь Разанаў, паэт, педагог, рэдактар, аўтар каля 10 зборнікаў паэзіі, многа перакладае з розных літаратур. Актыўны дзеяч дэмакратычнай плыні ў цяперашняй беларускай літаратуры. Цесна супрацоўнічае з нашай „Белавежай”, выступае на семінарах і сустрэчах, рэдагуе зборнікі „белавежцаў”.

(мг)

■ Калісь пісалі

Цьвёрда трымаемся свайго

в. Добраволя, Сьвіслацкай вол., Ваўкавыскага пав.

Пазашкольная асьвета ў нашай вёсцы, таксама як і ў цэлай воласці, знаходзіцца даволі ў цяжкім палажэньні. Іначай было пару год таму назад, калі ў Сьвіслачы, а так-жа і па вёсках былі свае родныя беларускія культурна-асьветныя арганізацыі — гурткі Т.Б.Ш. і інш. Тады ў нас сапраўды праводзілася вялікая культурна-асьветная работа. Калі пазакрывалі беларускія культурныя арганізацыі, здавалася, што моладзь зусім йзноў забудзе аб вышэйшых культурных і нацыянальных імкненьнях. Аднак так кепска не сталася. Цьвёрдая воля моладзі і гарачае пачуцьцё любові да свайго роднага трымаюць яе на добрай дарозе. Культурна-беларуская праца хоць вальней, аднак далей ідзе, не хапае нам перад усім кніжак і беларускіх часопісаў. Нацыянальная беларуская сьведамасьць сярод жыхароў нашае старонкі стаіць даволі высока. Моладзь жыве між сабой у згодзе і добра знае, што гарэлка і разбой гэта найгоршыя нашыя ворагі. У вольны час моладзь супольна чытае кніжкі і газеты і слухае радыя, ня гледзячы на тое, што з гэтага часамі бываюць „непаразумленьні” з паліцыяй. У гаспадарчым жыцьці адчуваецца незадаваленьне з камасацыі, якая праведзена была ў нас бяз прырэзкі зямлі. Некаторым сапраўды жывецца вельмі цяжка. Вёска патрабуе падзелу зямлі, справядлівай зямельнай рэформы і пабочных заработкаў. **Ж.**

„Шлях моладзі”, 8.I.1938 г., Н-р 2 (118)

Święta Eufrozyna, ihumenia połocka

W historii Białorusi jest wiele imion, bez których trudno wyobrazić sobie rozwój duchowy narodu białoruskiego. Wśród nich chronologicznie pierwsze miejsce należy bez wątpienia do św. Eufrozyny, ihumenii połockiej, często nazywanej „matką żeńskiego monastycyzmu” i „duchową opiekunką Białorusi”. O ile bowiem kult innych świętych Ziemi Połockiej miał charakter lokalny, to kult św. Eufrozyny nabrał znaczenia ogólnobiałoruskiego i ogólnoruskiego, szeroko rozpowszechnionego również wśród innych narodów słowiańskich.

Święta Eufrozyna pochodziła ze starożytnego książęcego rodu. Była córką księcia połockiego Jerzego i praprawnuczką św. równego apostołom Wielkiego Księcia Włodzimierza i księżnej Rahniedy. Dokładna data jej urodzin nie jest znana. Najbardziej prawdopodobny wydaje się rok 1104, chociaż historycy mówią o latach między 1101 i 1110, a nawet o roku 1120. Po urodzeniu księżniczce nadano imię Predsława.

Wychowywano ją na przyszłą władczynię. Uczono kurtuazji i dostojeństwa w zachowaniu i słowie, greki, łaciny, muzyki i tańca. Księżniczce jednak bardziej przypadła do serca modlitwa i zgłębianie nabożnych ksiąg, miłością do których zapałała po rozmowie z ciotką-mniszką — księżną Romanową. Nie jest wykluczone, że wpływ na nią miał też inny mnich lub duchowny, który zapewne uczył księżniczkę nauki pisania oraz znajomości Pisma Świętego.

Gdy dwunastoletnia księżniczka dowiedziała się o pragnieniu rodziców wydania ją za mąż, w tajemnicy przed nimi odeszła do monasteru, w którym ihumenią była jej ciotka. Tam, prawdopodobnie w dniu, w którym Cerkiew czci pamięć św. Eufrozyny Aleksandryjskiej, złożyła śluby zakonne, przyjmując imię tej świętej opiekunki.

Po kilku latach Eufrozyna przeniosła się do cel zakonnych przy, zbudowanym jeszcze przez jej dziada, połockim Soborze Mądrości Bożej. Tam, w poście i modlitwie, zajmowała się głównie przepisywaniem nabożnych ksiąg.

Około 1128 r. połocki biskup Eliasz pobłogosławił młodą mniszkę na założenie żeńskiego monasteru. Pod jego budowę wyznaczył miejsce szczególne — Sielco, gdzie wcześniej znajdowała się cerkiew Spasa, jak też specjalna świątynia, będąca miejscem pochówku pierwszych biskupów połockich. Wokół nowo założonego monasteru, poświęconego Przemienieniu Pańskiemu, zaczęły gromadzić się nie tylko siostry zakonne, ale i głęboko wierzący, edukowani ludzie — architekci, złotnicy, pisarze ikon. Nietypowa wspólnota oraz jej wyjątkowo zdolna przełożona szybko zyskały sobie niespotykaną w owych czasach sławę, a monaster stał się głównym ośrodkiem kultury i oświaty na Ziemi Połockiej.

Wraz ze wzrostem liczby sióstr zakonnych, dzięki ich trudowi oraz nadaniom władz świeckich i duchowych, rosła jego zamożność. Możliwa stała się budowa nowej, kamiennej świątyni Zbawiciela, którą wzniesiono w rekordowym tempie 30 tygodni. Tę istniejącą do dziś cerkiew jednomyślnie okrzyknięto wówczas największym osiągnięciem architektury na tych ziemiach.

Dla tej właśnie świątyni, u utalentowanego jubilera Łazara Bohszy, ihumenia zamówiła sześcioramienny krzyż do



przechowywania relikwii. Zamówienie zostało zrealizowane w 1161 r. Przez wiele wieków stanowił on największą świętość soboru. Jednak w latach 20. XX wieku w jego posiadanie weszli badacze radzieccy. Przekazano go wówczas do muzeum w Mohylowie, gdzie w 1941 r. wszelki ślad po nim zaginął.

Po pewnym czasie, a było to około 1155 r. św. Eufrozyna za swoje i ofiarowane przez rodzinę środki zbudowała w pobliżu Połocka jeszcze jedną cerkiew, poświęcając ją Narodzeniu Matki Bożej. Świątynia stała się główną cerkwią powołanego wówczas do życia męskiego monasteru. Przy jednej i drugiej wspólnocie powstawały i rozrastały się biblioteki, działały szkoły.

Do cerkwi Narodzenia Matki Bożej św. Eufrozyna postanowiła sprowadzić znaną cudotwórczą Efezką (zwaną też Chersońską) ikonę Bogarodzicy. Z błogosławieństwa patriarchy konstantynopolitańskiego Łukasza ikona ta, lub jej kopia, przybyła do Połocka. Dalsze losy tej ikony okrywa niestety mrok tajemnicy.

W końcu 1167 r. św. Eufrozyna, prawdopodobnie przeczuwając zbliżającą się śmierć, w otoczeniu sióstr, brata Dawida i siostry Eupraksji udała się w pielgrzymkę do Ziemi Świętej. Pielgrzymi szli pieszo, przy czym każdego dnia obóz przenosił się o 30-40 kilometrów dalej, wzbudzając wśród miejscowych władców niemały podziw. Na swej drodze pielgrzymi spotkali wojska bizantyjskie zmierzające na Węgry. Dowodzący nimi cesarz Manuel skierował św. Eufrozynę do Konstantynopola, co może świadczyć nie tylko o religijnych, ale też dyplomatycznych celach podjętej przez nią pielgrzymki.

W Konstantynopolu Eufrozyna długo modliła się w cerkwi Mądrości Bożej i uzyskała błogosławieństwo patriarchy, po czym udała się w dalszą drogę do Jerozolimy. Trud podróży nadwątlił jednak bardzo jej siły. Ledwie trzy razy zdążyła się ona pokłonić Grobowi Pańskiemu, kiedy zachorowała, co uniemożliwiło jej nawet udanie się nad rzekę Jordan.

Leżąc na łożu śmierci święta miała widzenie. Anioł obwieścił jej o zbliżającym się końcu ziemskiego życia. Wysłała wówczas do Ławry św. Sawy Uświęconego posłańców z prośbą, by po śmierci jej ciało spoczęło właśnie tam. Nie otrzymawszy na to, z nieznanych powodów, zgody, przyjęła propozycję braci, aby wybrać położony nie opodal Jerozolimy monaster św. Teodozjusza. Tam też spoczęło jej ciało, gdy zmarła 23 maja 1173 r.

W 1187 r. Jerozolima została zdobyta przez Egipcjan. W obawie przed zwycięzcami ruscy mnisi przenieśli wówczas ciało świętej do monasteru kijowsko-pieczerskiego i złożyli w Bliskich Pieczarach. Tam relikwie spoczywały aż do października 1910 r., kiedy zostały z wielką pompą przeniesione do połockiej cerkwi Spasa. Uroczystości poprzedziły długie starania ludności prawosławnej Ziemi Połockiej, zabiegającej o sprowadzenie do Połocka relikwii ich niebiańskiej opiekunki.

W dobie władzy radzieckiej, w 1922 r., w relikwie świętej Eufrozyny zostały odkryte i przewiezione do Moskwy na wystawę ateistyczną. Stamtąd przewieziono je do Witebska, gdzie prawie dwadzieścia lat znajdowały się w miejscowym muzeum krajoznawczym. Dopiero 23 października 1943 roku powróciły do soboru Mądrości Bożej, a już następnego dnia do założonego przez świętą monasteru Przemienienia Pańskiego, który na cześć swojej założycielki otrzymał nazwę Spaso-Eufrozyńskiego. Tam relikwie spoczywają do dnia dzisiejszego, gromadząc licznych wiernych i pielgrzymów pragnących zwrócił się z gorącą modlitwą do „duchowej opiekunki Białorusi".

Oddawanie czci ihumenii połockiej jako świętej rozpoczęło się zaraz po jej śmierci, jeszcze za życia biskupa Dionizego. W tym też okresie, jeszcze przed 1187 r., została ona zapewne oficjalnie zaliczona do grona świętych.

Pamięć świętej Eufrozyny, ihumenii połockiej, Cerkiew czci 23 maja/5 czerwca.

Jarosław Charkiewicz

Rys. Grzegorz Nazaruk

■ REGION

Białystok

● 5 listopada zebrała się Rada Społeczno-Ekonomiczna przy Kurii Arcybiskupiej. Jej członkowie — działacze bractw prawosławnych, przedstawiciele inteligencji prawosławnej i organizacji białoruskich — podsumowali wrześniowe wybory parlamentarne i zapoznali się z pracą radnych reprezentujących środowisko białorusko-prawosławne w Radzie Miejskiej Białegostoku. Uczestnicy zebrania postanowili, że w przyszłorocznych wyborach samorządowych ponownie powołają Komitet Wyborczy Prawosławnych jako koalicję organizacji prawosławnych i białoruskich.

● W dniach 7-9 listopada w parafii Zmartwychwstania Pańskiego na Słonecznym Stoku odbyło się XVI Walne Zgromadzenie Bractwa Młodzieży Prawosławnej. 96 delegatów ze wszystkich diecezji podsumowało minioną trzyletnią kadencję organizacji, wybrało nowe władze i przyjęło ramowy plan działalności na najbliższe lata. Za pozytywne uznano dotychczasową formułę organizowania akcji letniej oraz działalność wydawniczą. Padały głosy postulujące zmianę programu Majowej Pielgrzymki na św. Górę Grabarkę. Dotychczasowego przewodniczącego, Grzegorza Podlaskiego, zastąpił Aleksander Wasiluk, student trzeciego roku informatyki Politechniki Białostockiej. Zmienił się też duchowy opiekun Bractwa — miejsce o. Leoncjusza Tofiluka zajął o. Mikołaj Ostapczuk, proboszcz parafii w Gródku.

● 14 listopada Prezes TVP S.A. Ryszard Miazek uroczyście otworzył i dokonał próbnego uruchomienia nadajnika Telewizji Białystok w Krynicach. Nadajnik 35 kanału regionalnego poświęcili abp Stanisław Szymecki i ks. Grzegorz Misijuk. Białostocki program regionalny Telewizji Białystok zostanie prawdopodobnie uruchomiony w połowie grudnia br. Mimo że o lokalizacji dwunastego i ostatniego ośrodka regionalnego Telewizji Polskiej zadecydowało m.in. to, że w tym regionie zamieszkuje liczna mniejszość białoruska (a 10 tys. osób podpisało postulat Związku Białoruskiego, skierowany do Zarządu TVP, o zwiększenie czasu nadawania audycji w języku białoruskim), w ramówce programu białostockiego nie przewiduje się audycji w języku białoruskim. Telewizja Białystok realizuje dotychczas jedynie jedenaście minut programu białoruskojęzycznego, który ukazuje się w programie „Sami o sobie" w niedziele o godz. 8.50.



Promocja weneckiej książki Sokrata Janowicza Fot. G. Dąbrowski

● 15 listopada w Galerii Stotrzynaście, mieszczącej się w budynku Wydziału Pedagogiki i Psychologii Uniwersytetu w Białymstoku, odbyła się promocja najnowszej książki Sokrata Janowicza „Miniature", którą wydała Galleria del Cavallino w Wenecji. Opublikowanych w niej zostało dwadzieścia pięć „sokratek" — wierszy prozą — w przekładzie na język włoski i angielski. Książka ukazała się w solidnej kolorowej oprawie, na wysokim poziomie edytorskim. Rangę wydania podniosły barwne fotografie Leona Tarasewicza, artysty-malarza z podbiałostockich Walił, który powiększone fotogramy, przedstawiające panoramę wokół Krynek, zaprezentował w ramach wystawy. Jej wernisaż odbył się po zakończeniu promocji książki. Tego wieczoru do Galerii Stotrzynaście przybyło wielu literatów, naukowców, dziennikarzy, studentów i przyjaciół Janowicza i Tarasewicza. Obecni też byli goście z zagranicy, z Gabrielą Cardazzio z włoskiej galerii.

● W Zakładzie Edukacji Międzykulturowej Uniwersytetu w Białymstoku odbył się wieczór autorski białoruskiego poety, tłumacza i publicysty, Wiktora Szweda. Tłumnie zebrana publiczność miała okazję wysłuchania wierszy poety, recytowanych przez studentów, którzy śpiewali je także, po polsku i białorusku, przy akompaniamencie gitary. Okazją do zorganizowania spotkania była promocja najnowszego zbiorku poezji Szweda, wydanych w języku polskim „Wierszy wybranych".

● 20 listopada odbyło się posiedzenie Rady Głównej Białoruskiego Zjednoczenia Demokratycznego. Podsumowano udział partii we wrześniowych wyborach parlamentarnych i zdecydowano o przystąpieniu wiosną przyszłego roku we wszystkich miastach i gminach wschodniej Białostocczyzny do wyborów samorządowych. W związku z wejściem w życie od stycznia 1998 r. ustawy o partiach politycznych, Rada postanowiła rozpocząć zbiórkę deklaracji członkowskich wśród mieszkańców. W myśl nowych przepisów partia, aby móc legalnie działać, musi liczyć co najmniej tysiąc członków.

● Do ostatniego miejsca zapełniła się widownia Filharmonii Białostockiej podczas Koncertu Dobroczynnego, który 23 listopada zorganizował Prawosławny Ośrodek Miłosierdzia. Koncert, już tradycyjnie, składał się z dwóch części — muzyki cerkiewnej i ludowej. Zadowolenie i sympatię słuchaczy wywołały dzieci i ich rodzice z białoruskich oddziałów Przedszkola Samorządowego Nr 14 w Białymstoku z inscenizacją dawnego białoruskiego wesela. Wpływy ze sprzedaży biletów zostaną przeznaczone na bieżące potrzeby Ośrodka — wydawanie bezpłatnych gorących posiłków przy białostockim soborze, paczki pod choinkę dla dzieci z domów dziecka w Białymstoku i Supraślu oraz z rodzin ubogich. W listopadzie w dekanacie sokólskim i gródeckim prowadzono zbiórkę zboża, które będzie przekazane prawosławnym powodzianom z parafii Malczyce i Przemków w województwie wrocławskim.

● Laureatem tegorocznej nagrody prezydenta miasta w dziedzinie twórczości literackiej i upowszechniania kultury został Jan Leończuk, autor wierszy, fe-

lietonów literackich, tłumacz literatury białoruskiej i arabskiej, przewodniczący białostockiego oddziału Związku Literatów Polskich.

● W Białymstoku powstaje Centrum Edukacji Obywatelskiej Polska-Białoruś. Wniosek o zarejestrowanie stowarzyszenia o takiej nazwie wpłynął do Sądu Wojewódzkiego w Białymstoku. Inicjatorami utworzenia Centrum są m.in. Artur Smółko, lider białostockiej Unii Pracy i Eugeniusz Wappa, przewodniczący Związku Białoruskiego w RP. W planach działalności nowej organizacji są szkolenia liderów pozarządowych struktur społecznych i politycznych oraz dziennikarzy z Polski, Białorusi i innych krajów europejskich. Centrum będzie też wydawać własny biuletyn i pozycje książkowe.

● Według prof. Andrzeja Sadowskiego, na ok. 700 tys. mieszkańców woj. białostockiego, ok. 450 tys. stanowią katolicy i ok. 250 tys. prawosławni. Szacunki Sadowskiego są oparte na danych zaczerpniętych z obu Kościołów i znacznie różnią się od informacji „Rocznika statystycznego województwa białostockiego" z 1994 r. Według tego źródła, katolików jest 388 tys., a prawosławnych 340 tys. Z badań socjologów Uniwersytetu w Białymstoku wynika, że ok. 30 proc. osób wyznania prawosławnego uważa się za Białorusinów, zaś ok. 60 proc. za Polaków. Na tej podstawie Sadowski szacuje liczbę Białorusinów w województwie na ok. 75 tys.

Białystok-Grabarka

● Pięciu młodych wyznawców prawosławia i dwudziestu pięciu katolików, w tym duchowni obu wyznań, wzięło udział w pielgrzymce autokarowej na Świętą Górę Grabarkę. Po drodze młodzi ludzie zwiedzili cerkiew i kościół w Zabłudowie oraz odwiedzili Policealne Studium Ikonograficzne w Bielsku Podlaskim. W cerkwi na Grabarce wzięli udział w prawosławnym nabożeństwie. Wyjazd zakończył się wspólnym ogniskiem w muzeum rodzinnym Doroteusza Fionika w Studziwodach. Inicjatorem wyjazdu było Prawosławne Duszpasterstwo Akademickie z Białegostoku. W przyszłości planowana jest pielgrzymka do jednego z sanktuariów rzymskokatolickich.

Bielsk Podlaski

● 9 listopada w Bielskim Domu Kultury odbył się koncert, połączony z prezentacją dorobku artystycznego, białoruskiego folklorystycznego zespołu wokalno-instrumentalnego „Małanka". Była to już ósma impreza zorganizowana w ramach cyklu „Bielskie klimaty artystyczne". Poprzednio prezentowały się m.in. „Wasiloczki", „Podlaskie Kukułki", „Dziawoczyja notki" i klub tańca „Kadryl-Gama". Tym razem uroczystość miała szczególnie podniosły charakter. Dyrektor BDK i jednocześnie kierownik artystyczny „Małanki", Sergiusz Łukaszuk, został odznaczony Krzyżem Kawalerskim Orderu Odrodzenia Polski. Odznaczenie wręczył wicewojewoda białostocki Grzegorz Rykowski. Swą obecnością uroczystość zaszczycili też inni przedstawiciele władz miejskich i wojewódzkich. W drugiej części koncertu „Małanka" wystąpiła w nowych strojach (na zdjęciu), podarowanych przez Ministerstwo Kultury Republiki Białoruś.

● W ratuszu można obejrzeć wystawę „Bielsk Podlaski w dwudziestoleciu międzywojennym". Prezentowane eksponaty odzwierciedlają obecność różnych grup narodowych i religijnych w mieście przed II wojną światową. Większość pochodzi z Białostockiego Muzeum Historycznego, zabytki kultury żydowskiej wypożyczono z Tykocina. Część prezentowanych eksponatów, szczególnie dotyczących dziejów Cerkwi prawosławnej i Białorusinów w mieście i okolicy, pochodzi ze zbiorów prywatnych.



Fot. J. Kalina

Hajnówka

● 22 listopada XV-lecie działalności świętował Białoruski Zespół Pieśni Hajnowskiego Domu Kultury. W programie uroczystości był koncert jubileuszowy zespołu. W części oficjalnej przypomniano jego historię i sukcesy artystyczne. Wśród publiczności byli przedstawiciele władz miasta i województwa.

● Pismo samorządowe „Gazeta Hajnowska" przestaje się ukazywać. Redaktor naczelny miesięcznika, Jan Ciełuszecki, poczynił starania o uruchomienie hajnowskiego oddziału „Gazety Współczesnej" z siedzibą w budynku Muzeum Białoruskiego.

● Parafia prawosławna pw. Świętej Trójcy kończy remont części obiektów dawnego szpitala rejonowego, w których z początkiem nowego roku rozpocznie działalność dom miłosierdzia. W pierwszym budynku zamieszka na stałe czterdzieści osób z Hajnówki i okolic. W pozostałych budynkach, czekających na remont kapitalny, w przyszłości będą zorganizowane gabinety terapii zajęciowej oraz pokoje noclegowe dla bezdomnych. Jak nas poinformował proboszcz, o. Michał Niegierewicz, środki finansowe potrzebne na przeprowadzenie wszystkich prac remontowych są tak wielkie, że sama parafia nie jest w stanie ich zgromadzić, a urzędy powołane do pomocy charytatywnej nie śpieszą z pomocą. Ofiary na rzecz domu miłosierdzia w Hajnówce można wpłacać na konto: Dom Miłosierdzia przy parafii Św. Trójcy w Hajnówce, ul. 3-go Maja 63, PKO Hajnówka 10201358-6536-270-1.

Sokółka

● 16 listopada Białoruskie Towarzystwo Historyczne zorganizowało w klubo-kawiarni Sokólskiego Ośrodka Kultury sesję „Białorusini Sokólszczyzny". Referaty wygłosili naukowcy z Grodna, Mińska, Białegostoku i Gdańska. Tematem wystąpień były białoruskie korzenie Sokólszczyzny i losy pochodzących stąd działaczy białoruskich. Prawdziwym wydarzeniem stał się koncert muzyki klasycznej w wykonaniu artystów z Miń-

ska — Wiktara Skorabahatawa (baryton) i Hanny Karżanieuskaj (fortepian). Następnego dnia muzycy wystąpili w Bielskim Domu Kultury przed młodzieżową publicznością z Liceum Ogólnokształcącego z białoruskim językiem nauczania im. Bronisława Taraszkiewicza. Sokólska sesja, mimo informacji w prasie, radiu i telewizji, nie spotkała się z żywym zainteresowaniem wśród mieszkańców. Przybyli tylko przedstawiciele miejscowych władz z wiceburmistrzem Czesławem Sańko, proboszcz parafii prawosławnej, o. Włodzimierz Misiejuk, Konstanty Bieluk z Siderki (nasz wierny czytelnik) i kuzynka Władysława Kozłowskiego, bohatera jednego z wygłoszonych referatów. Jedynie podczas koncertu muzycznego na sali zjawiło się około dwudziestu młodych ludzi. O białoruskich działaczach z Sokólszczyzny piszemy na str. 17.


Koncert Wiktara Skorabahatawa i Hanny Karżanieuskaj w Sokółce Fot. H. Kondratiuk

■ KRAJ

Puńsk

● W stolicy polskich Litwinów odbyło się spotkanie mniejszości narodowych zamieszkujących Polskę północno-wschodnią. Wzięli w niej udział działacze organizacji białoruskich, ukraińskich, rosyjskich i niemieckich. Głównym tematem spotkania był dostęp mniejszości narodowych do środków masowego przekazu oraz ich wizerunek w mediach polskojęzycznych. Wszyscy uczestnicy spotkania byli zgodni, że polska prasa pisze o mniejszościach mało i prawie zawsze w niekorzystnym świetle oraz że mają one znikomy dostęp do publicznego radia i telewizji. Zdaniem Eugeniusza Pietruszkiewicza „mniejszości perfidnie wykorzystano jako kartę przetargową w staraniach o ulokowanie w Białymstoku ośrodka regionalnego telewizji publicznej". Uczestnicy spotkania podpisali wspólne oświadczenie, w którym m.in. postulują przydzielenie czasu antenowego w Radiu Białystok i Telewizji Białystok wszystkim mniejszościom oraz zwiększenie czasu antenowego dla Ukraińców i Litwinów w radiu.

Suwałki

● Czterdzieścioro czworo uczniów i nauczycieli Liceum Białoruskiego z Bielska Podlaskiego porządkowało cmentarz prawosławny w Suwałkach. Parafia prawosławna w tym mieście powstała w XIX wieku. Obecnie większość parafian to ludzie w starszym wieku, którzy samodzielnie nie są w stanie uporządkować blisko dwuhektarowego cmentarza. Licealiści z Bielska Podlaskiego grabili liście, wycinali niepotrzebne krzaki i zielsko, zamiatali groby. Parafianie i młody proboszcz, o. Jan Kojło, byli bardzo wdzięczni za pomoc.

Warszawa

● W dniach 20-23 listopada Ośrodek Kultury „Arsus" zorganizował VI Ogólnopolski Przegląd Dorobku Artystycznego Mniejszości Narodowych i Etnicznych „Wspólnota w Kulturze". Prezentowali się artyści-amatorzy mniejszości białoruskiej („Areszki" z Orzeszkowa), litewskiej, niemieckiej, romskiej, ormiańskiej, ukraińskiej i żydowskiej. W ramach imprez towarzyszących odbył się m.in. białoruski wieczór literacki z udziałem Wiktora Szweda i Jerzego Bajeny (prowadził Eugeniusz Kabatc, wiersze recytował Wojciech Siemion) oraz pokaz filmów autorstwa Aleksandry Kedaj i Krzysztofa Krzyżanowskiego z cyklu reportaży telewizyjnych „U siebie".

● W Audytorium Maximum Uniwersytetu Warszawskiego została otwarta wystawa „Królestwo Białorusi — kultura postkolonialna", na której zaprezentowano prace piętnastu artystów-malarzy (pejzażystów) i fotografików z Mińska, Homla, Grodna i Wilna.

● Ministrem kultury w nowym rządzie została Joanna Wnuk-Nazarowa, rekomendowana przez Unię Wolności. Ostatnio była dyrektorem Filharmonii Krakowskiej. Z resortu odszedł wieloletni wiceminister Michał Jagiełło, któremu podlegały m.in. sprawy mniejszości narodowych. Biurem do spraw Kultury Mniejszości Narodowych i Etnicznych będzie kierował Dariusz Sobkiewicz, który we wrześniu zastąpił na tym stanowisku Jerzego Bisiaka. Sprawami mniejszości narodowych będzie też zajmował się Bogdan Borusewicz (Unia Wolności) z Ministerstwa Spraw Wewnętrznych i Administracji.

Oświadczenie

Gazeta „Swaboda", jako największe pismo opozycyjne w Białorusi, odgrywa wiodącą rolę w informowaniu społeczeństwa swego kraju, a także opinii światowej o tych sprawach i problemach, o których oficjalne środki przekazu milczą lub które poddają manipulacji.

My, dziennikarze białoruscy, uprawiający swój zawód w kraju demokratycznym, w którym szanuje się wolność słowa, solidaryzujemy się z kolegami z ul. Iwanauskiej 56 w Mińsku w ich walce o przetrwanie swej gazety. Apelujemy do wszystkich instytucji i organizacji w Polsce i na świecie, by podjęły wszelkie dostępne środki w celu wymuszenia na białoruskich władzach cofnięcia decyzji o zamknięciu „Swabody" i poszanowania wolności słowa w ogóle.

Jerzy Chmielewski,
przewodniczący Stowarzyszenia Dziennikarzy Białoruskich

■ REPUBLIKA BIAŁORUŚ

Mińsk

● Po jesiennej akcji siewnej i wykopkach ziemniaków, które w niektórych kołchozach przeciągnęły się do początków listopada, w republice rozpoczęto intensywne przygotowania do zimy. Prezydent, rząd i władze obwodowe za pośrednictwem mediów zainicjowały energiczną kampanię w celu zmobilizowania dyrekcji przedsiębiorstw i instytucji oraz zwykłych obywateli do gromadzenia zapasów opału, przeprowadzenia przeglądów i remontów sieci ciepłowniczej oraz uszczelnienia budynków. Szczególną wagę władze nadały uregulowaniu dostaw rosyjskiego gazu. Kierownictwo głównego dostawcy, koncernu „Gazprom", dalszy eksport na Białoruś uzależnia od spłaty zadłużenia, które przekroczyło już 100 milionów dolarów. W Mińsku została powołana specjalna komisja państwowa, która kontroluje terminowość wpłat należności za rosyjski gaz, wnoszonych przez poszczególne ministerstwa, władze obwodowe i koncerny prywatne. Do groźnych rozmiarów wzrósł też dług wewnętrzny — zaległości lokatorów za dostarczane do mieszkań ciepło, gaz i energię elektryczną. Mimo stosunkowo niewielkich (w stosunku do światowych) cen tych nośników energii, które kosztują białoruską rodzinę od kilku do kilkunastu dolarów miesięcznie, jest to znaczny wydatek w budżecie domowym (przy przeciętnej płacy 70-100 dolarów i powszechnej drożyźnie większości towarów). Aby zmusić mieszkańców do uregulowania tych zaległości, w miejscach publicznych są wywieszane listy z nazwiskami największych dłużników.

● Drugą sprawą, przyciągającą uwagę wszystkich mieszkańców, stała się zakrojona na szeroką skalę walka z korupcją, terroryzmem i przestępczością zorganizowaną. Bezpośrednią przyczyną rozpętania w mediach olbrzymiej kampanii na ten temat było październikowe zabójstwo w Brześciu członka Izby Reprezentantów Zgromadzenia Narodowego RB. Aleksander Łukaszenka wprowadził odpowiedni dekret prezydencki, nakazujący kontrolę powiązań władzy ze światem przestępczym i zalecił wprowadzenie szczególnych środków bezpieczeństwa w miejscach publicznych. Natychmiast na ulicach zaroiło się od umundurowanych w panterki funkcjonariuszy. 11 listopada został aresztowany minister rolnictwa, Wasil Leonow. Zarzucono mu „malwersację olbrzymich sum pieniędzy" na korzyść jednej ze spółek. Dwóch zięciów ministra, powiązanych z aferą, aresztowano pod zarzutem nielegalnego posiadania broni. Ministrowi przy okazji zarzucono, że nie dopilnował obsiania 20 hektarów ziemi w jednym z kołchozów.

● 2 listopada, w Dniu Pamięci Przodków „Dziady", opozycja zorganizowała marsz żałobny ku czci ofiar KGB. Trzy tysiące osób zebrało się pod siedzibą KGB w Mińsku, gdzie ustawiono kaplicę — symbol zwycięstwa wiary nad totalitaryzmem. Następnie demonstranci przeszli z Placu Jakuba Kołasa do Kuropat i oddali hołd spoczywającym tam stu tysiącom ofiar represji stalinowskich.

● 7 listopada, w 80. rocznicę rewolucji bolszewickiej, ulicami Mińska przeszedł siedmiotysięczny pochód. Uczestnicy — członkowie i sympatycy Partii Komunistów Białorusi i Białoruskiego Patriotycznego Związku Młodzieży — nieśli portrety Aleksandra Łukaszenki, transparenty z napisami: „Popieramy politykę prezydenta", „Tak — Związkowi Rosji i Białorusi, nie — rozszerzeniu NATO na wschód" i wznosili rewolucyjne okrzyki. Wzorem czasów radzieckich w tym dniu oddano do użytku, jako „dar ludu pracującego mieszkańcom stolicy", nowy odcinek stołecznego metra, który otworzył Aleksander Łukaszenka.



7 listopada br. w Mińsku — Fot. „Zwiazda"

● 10 listopada zawiązała się „Karta '97". 100 znanych w Białorusi osobistości i autorytetów w dziedzinie kultury, nauki, polityki i dziennikarstwa złożyło podpisy pod tekstem-apelem, wzywającym obywateli do walki o wolność i demokrację w republice. „Wszyscy pamiętamy — czytamy w apelu — jak grupa mężnych czeskich i słowackich obrońców prawa wzywała do walki z totalitaryzmem w „Karcie '77" i jak później we wschodniej Europie nawet cień nie pozostał po czerwonej dyktaturze. (...) Nie możemy dłużej cierpieć gwałcenia prawa i przestępstw przeciwko narodowi białoruskiemu. (...) Uczynimy Białoruś wolnym, niezależnym, kwitnącym krajem europejskim." Swe podpisy złożyli m.in.: Stanisław Bahdankiewicz, Lawon Barszczeuski, Wasil Bykau, Mieczysłau Hryb, Paweł Żuk, Ihar Hiermiańczuk, Tadeusz Gawin, Siamion Szarecki, Stanisław Szuszkiewicz, Walancina Tryhubowicz, Paweł Szeremiet, Kasia Kamocka, Lawon Wolski i Wiktar Szałkiewicz. Autorzy „Karty '97" wezwali do składania podpisów wszystkich obywateli.

● 23 listopada opozycja zorganizowała mityng antyprezydencki w rocznicę pamiętnego, zmanipulowanego przez Łukaszenkę, referendum z listopada 1996 roku, które dało „przyzwolenie społeczne" na zmianę konstytucji, i w rezultacie nastąpiło bezprawne rozwiązanie parlamentu.

● Zgodnie z wyrokiem Sądu Rejonowego w Mińsku z dnia 24 listopada, gazeta „Swaboda" nie ma prawa się ukazywać. Zamknięcie największego w Białorusi pisma opozycyjnego (piątkowe wydanie w nakładzie 90 tys. egz.) w całym świecie zostało przyjęte jako kolejny przejaw dławienia przez białoruskie władze wolności prasy. Wyrok był poprzedzony trzykrotnym ostrzeżeniem, kierowanym do wydawcy przez Państwowy Komitet ds. Druku, który wzywał redakcję do „zaprzestania publikowania tekstów szkalujących osobę prezydenta i władze republiki". Sprawa stanęła w sądzie po wydrukowaniu w „Swabodzie" artykułu Alhierda Niewiarouskiego pt.

„Prowokacje w stylu lat. 30.”, o współczesnych metodach walki białoruskiego KGB z opozycją. Wyrok mińskiego sądu nie jest prawomocny. Gdy sąd wyższej instancji utrzyma go w mocy, redakcja nosi się z zamiarem wydawania „Swabody” w podziemiu lub pod zmienionym tytułem. Swój protest w związku z zamknięciem „Swabody” natychmiast wystosowały organizacje dziennikarskie i obrony wolności prasy w całym świecie.

● Podrożała większość towarów i usług. Nie zmieniły się tylko ceny alkoholu. Najwięcej, bo aż o 30 proc. wzrosły opłaty za pobyt w sanatoriach. Rozmowy telefoniczne podrożały o 10 proc. W odczuwalnym stopniu wzrosły ceny pieczywa, w trochę mniejszym pozostałe artykuły żywnościowe. Miesięczna inflacja wciąż utrzymuje się na poziomie 3-4 proc.

● 50 lat ukończył Anatol Jarmolenka, lider znanego także na Białostocczyźnie zespołu „Siabry”. Z okazji jubileuszu w sali Teatru Wielkiego Opery i Baletu odbył się koncert artysty „Nigdy się z wami nie żegnałem”. Licznie zgromadzona publiczność i goście oficjalni jeszcze raz mogli usłyszeć niezapomniane przeboje, takie jak „Alesia” i „Pijcie piwa mużyki”. Prezydent Łukaszenka osobiście pogratulował artyście i wręczył Medal Franciszka Skaryny.

● W Ambasadzie Federacji Rosyjskiej w Mińsku wybitny pisarz białoruski Wasil Bykau odebrał Order Przyjaźni, nadany mu przez prezydenta Borysa Jelcyna w dowód uznania za wkład w rozwój literatury współczesnej.

● Organizacja UNESCO ogłosiła rok 1998 rokiem Adama Mickiewicza, w związku z 200-leciem urodzin polskiego wieszcza, z pochodzenia Białorusina. Prezydent Aleksander Łukaszenka wydał dekret, zgodnie z którym we wrześniu przyszłego roku zostanie otwarte muzeum poety w jego domu rodzinnym w Zaosiu koło Nowogródka. Do końca bieżącego roku Rada Ministrów powoła komitet organizacyjny i przygotuje plan obchodów jubileuszu urodzin Adama Mickiewicza.

● Jak poinformowało Ministerstwo Statystyki i Analiz RB, od stycznia do października na terenie republiki zanotowano 2771 przypadków samobójstw. W samym Mińsku na życie targnęły się aż 322 osoby. 85 proc. samobójców to mężczyźni.

■ ŚWIAT

Czechy

Dzięki pomocy finansowej białoruskich parafii prawosławnych, organizacji emigracyjnych i osób prywatnych (nie tylko wyznania prawosławnego) ukazały się dwie książki autorstwa o. Konstantego Bondaruka „Poznaj swoje” i „Wyzwoli was prawda”. W pierwszej autor w przystępny sposób przybliża czytelnikowi istotę wiary prawosławnej, opisuje sens modlitwy, nabożeństw, symbolikę szat liturgicznych duchownych, obrzędy oraz podstawowe obowiązki wiernych. Druga zawiera kazania o. Konstantego Bondaruka, w których traktuje on Pismo Święte jako wartość uniwersalną, aktualną bez względu na epokę. Przy pomocy prawd wiary opowiada o człowieku, jego problemach. Autor napisanych w języku białoruskim książek jest pracownikiem białoruskiej sekcji Radio Swoboda w Pradze. Redaktorem tekstów był Witalis Łuba. Książki można kupić w redakcji tygodnika „Niwa”, przy ul. Zamenhofa 27 w Białymstoku.

Finlandia

Alina Bielskaja, osiemnastoletnia dziennikarka białoruska, przebywając w Helsinkach na zaproszenie fińskiego PEN-klubu, wystąpiła o azyl polityczny w tym kraju. Swój wniosek motywowała grożącymi jej represjami ze strony władz białoruskich, które aresztowały jej przyjaciół z Młodego Frontu, Alaksieja Szydłouskiego i Wadzima Łabkowicza.

Litwa

Organizacje litewskich Białorusinów powołały w Wilnie Republikańskie Zjednoczenie Białoruskich Organizacji Społecznych. Na jego czele stanął Lawon Muraszka, znany śpiewak operowy. ZBOS zorganizowało dotychczas dwa koncerty białoruskiej pieśni i wystawę białoruskiego malarstwa. Niedawno w Solecznikach zjednoczenie uruchomiło własne centrum poligraficzne, które będzie wydawać białoruską gazetę „Nasza staronka”.

Rosja

1 listopada w cotygodniowym programie analitycznym „Wriemia” Siergieja Darenki wystąpiła ukryta postać człowieka, który zmienionym głosem oświadczył, że białoruski polityk, Iwan Karatczenia, domagał się od niego łapówki w wysokości pięćdziesięciu tysięcy dolarów. Wybuchł kolejny skandal, o którym dowiedziały się miliony widzów za pośrednictwem Rosyjskiej Telewizji Publicznej ORT.

USA

W końcu listopada przebywała w Chicago, na zaproszenie prawosławnego duszpasterstwa sił zbrojnych USA, delegacja Prawosławnego Ordynariatu Wojska Polskiego, na czele z gen. abp. Sawą. Celem wizyty było zapoznanie się z pracą duszpasterską wśród żołnierzy armii amerykańskiej. Abp Sawa odwiedził parafię pw. św. Jerzego w Chicago, której wierni to prawosławni Białorusini z Białostocczyzny i Białorusi. Hierarcha przekazał parafii cząstkę relikwii św. Gabriela Zabłudowskiego. W dniu amerykańskiego Święta Dziękczynienia w katedrze prawosławnej pw. Św. Trójcy w Chicago abp Sawa wspólnie z bp. Hiobem celebrował okolicznościowe nabożeństwo. Następnie spotkał się z metropolitą Cerkwi greckiej Jakubem. W seminarium duchownym Cerkwi serbskiej wygłosił referat o Cerkwi prawosławnej w Polsce.

Ludmiła Rubleuskaja

Zostawaj teraz w klatce pozłacanej.
Tyś obrała sama taki los.
U. Karatkiewicz

Ptak wolność kocha. Ale bywa z rzadka,
Że pokocha ptaszek pozłacaną klatkę.
Ptak ten będzie taką złotą wiarę głosić:
„Po co nam, skrzydlatym, w wietrze wiek się wznosić?”

Ptak ten uczy wierzyć i bogu złotemu:
„Dla każdego ptaka dać po jednym domu.”
I bardzo takie ptaki po świecie żałuje,
Co lecą na wiatr, na strzały i kule.

Byle kto pierzasty będzie ptaszką świętą,
Gdy mu będzie domem dwór ze złotych prętów.

Tłumaczyła ***Mirosława Łuksza***

Helena Głogowska

Sokólska Białoruś

„(...) Są ludzie, którzy mówią językiem niewątpliwie białoruskim, ale którzy są katolikami i których poczucie narodowe jest bardzo dziwne. Byłem w takiej wsi, mieszkańcy mówili po białorusku, ale twierdzili, że nie są Białorusinami, bo są katolikami (...). Jak wyglądało pojęcie ojczyzny u śp. księdza Jerzego Popiełuszki, którego rodzice jeszcze żyją, którego brat mówiący po białorusku jest w parafii pod Sokółką organistą? (...) Oni (ludzie spod Sokółki — H.G.) odżegnywali się, mówili, że nie są Białorusinami, bo Białoruś jest tam, gdzie prawosławie. Ale przecież mówili tym samym białoruskim językiem.”

Tak w 1992 roku rozważał językoznawca z Gdańska, prof. Leszek Moszyński. Podobne refleksje wypowiadają jednak tylko nieliczni polscy naukowcy i inteligenci. Większość świata naukowego, kulturalnego i politycznego w kraju nie chce w ogóle słyszeć o jakiejkolwiek białoruskości Sokólszczyzny. Przyznanie tego faktu, oczywistego dla Białorusinów w całym świecie, podważałoby sens polskości na „kresach wschodnich”. Nikogo zatem nie dziwi oryginalność tego regionu, w którym jeszcze dziś ludzie rozmawiają „po prostu”, a twierdzą, że są Polakami. Nie dziwi, bo o tym się nie mówi. Sami mieszkańcy, przeważnie prości, sympatyczni i mili ludzie, już dawno poddali się wpływowi polskiego Kościoła katolickiego, od wieków ekspansywnego i słynącego z umacniania polskości niekoniecznie na własnych ziemiach etnicznych. Dziś sokólska inteligencja pod kierunkiem księży buduje własną, bardzo wybiórczą, historię swych ziem. Nie ma w niej miejsca na białoruskość. Utrwala to, co zdecydowanie polskie — kościoły katolickie (powstało wiele monografii parafii), martyrologię (udział w powstaniu styczniowym, wojnie polsko-sowieckiej 1920 r., kampanii wrześniowej 1939 r.) i polską oświatę. Dla kolorytu podkreśla się orient tatarski, rozpropagowany zwłaszcza w latach 70., z meczetami w Bohonikach i Kruszynianach. Autorzy kreujący taką historię i wizerunek swej małej ojczyzny, przy poparciu polskich środowisk inteligenckich, polityków i rządów wszystkich orientacji, także ostatniej, komunistycznej, zrobili swoje. Bo któż słyszał o Białorusinach pod Sokółką?

W Polsce Ludowej, realizującej model państwa jednonarodowego, nie wypadało ich nawet szukać, żeby nie burzyć tego schematu. Językoznawcy poddawali w wątpliwość, czy „prosty język” to język białoruski, czy gwara języka polskiego. Zawsze wychodziło na to drugie.

Nie lepiej działo się przed wojną, kiedy w zapale polonizacji „kresów wschodnich” ruch białoruski traktowano jako wrogą antypaństwową działalność. Szczególnie tam, gdzie dominowali katolicy. W oczach władz wszelkie próby działania na rzecz białoruskości pod Sokółką nabierały charakteru wywrotowego. Tereny te od razu po odzyskaniu przez Polskę niepodległości zostały objęte doktryną, mającą na celu umacnianie i pielęgnację polskości. Realizował ją, powstały w 1919 roku, Zarząd Cywilny Ziem Wschodnich. Jedną z jego jednostek terenowych, gdzie najsilniej prowadzono takie działania, był okręg brzeski, do którego należała też Sokólszczyzna. Jej mieszkańców uświadamiano o przynależności tych ziem do Polski, wraz z nastaniem polskiej administracji zaczęły powstawać polskie szkoły.

Przejawy jakiejkolwiek działalności białoruskiej na tym terenie zawsze bacznie obserwowały odpowiednie służby.

22 lutego 1923 roku komendant posterunku Policji Państwowej w Nowym Dworze meldował komendantowi powiatowemu w Sokółce:

„Donoszę, iż w dniu 19 lutego r.b. o godzinie 24-ej do miasta Nowego Dworu przybył poseł na Sejm Baranow, który do godziny 12-ej dnia 20 b.m. prowadził tajne rozmowy z ludnością prawosławną, uchodzącą za Białorusinów (...). W dniu zaś 20 lutego b.r. o godzinie 12-ej na rynku zwołał wiec, na którym było około 200 osób, składających się z ludności prawosławnej. (...) W przemówieniu swoim poseł Baranow mówił do zgromadzonych, że kraj ten, a mianowicie Ziemia Grodzieńska, nie jest żadną Polską, a Białorusią, że ludność powinna walczyć i dążyć, aby się wyrwać ze szponów jarzma polskiego i utworzyć niezależną Białoruś, gdyż w przeciwnym razie naród białoruski pod panowaniem Polaków stopniowo spolonizuje się i z czasem utraci swą odrębność. Dalej poseł Baranow zaznaczył, że władze polskie prześladują działaczy ruchu białoruskiego, którzy są albo więzieni przez wspomniane władze polskie, albo zmuszeni do emigracji. Wzbraniają do zakładania szkół białoruskich, a natomiast we wsiach białoruskich urządzają szkoły polskie, czyniąc to celowo, by przyśpieszyć polonizację dzieci białoruskich i kraju. Na żadne urzędy państwowe i na nauczycieli, o ile możności, starają się nie dopuszczać Białorusinów, którzy w wielu wypadkach daleko więcej przewyższają w urzędowaniu Polaków.”

Nic więc dziwnego, że dziś miejscowa inteligencja i władza lokalna utrwalają tu tylko polskie stereotypy.

Byli jednak inni, którzy język uważali za duszę narodu i nie mieli wątpliwości odnośnie białoruskiej samoidentyfikacji.

Pierwszymi znanymi Białorusinami na Sokólszczyźnie byli ksiądz **Franciszek Hrynkiewicz** i **Adam Byczkowski**, którzy jeszcze przed pierwszą wojną światową, w 1909 roku, założyli w Grodnie białoruską organizację młodzieżową — Haradzieński Hurtok Biełaruskaj Moładzi (HHBM).

Franciszek Hrynkiewicz urodził się w 1884 roku w Nowym Dworze. Tam ukończył rosyjską szkołę ludową, potem uczył się w gimnazjum w Grodnie, w Wileńskim Seminarium Duchownym, w Petersburskiej Katolickiej Akademii, w Insbrücku i Monachium. W 1909 roku, po ukończeniu nauki, został nauczycielem religii w grodzieńskich gimnazjach. Mając kontakt z młodzieżą ze swych stron rodzinnych, prowadził wśród nich działalność uświadamiającą.

Adam Byczkowski urodził się w 1889 roku w folwarku Tołoczki. Pobierał nauki w Wileńskim Seminarium Duchownym, które rzucił w 1907 roku i przeniósł się do gimnazjum w Grodnie. Następnie ukończył prawo na Uniwersytecie w Petersburgu. Studiując tam stał się jednym z założycieli Białoruskiego Koła Naukowo-Literackiego. W 1913 roku w Wilnie był też wydawcą katolickiego tygodnika białoruskiego „Biełarus”. Pracował jako sędzia w Sokółce i adwokat w Warszawie, gdzie 18 listopada 1937 roku zginął w nie wyjaśnionych okolicznościach.

Za sprawą tych dwóch osób w HHBM znaleźli się m.in. późniejsi działacze białoruscy spod Sokółki: **Stanisław Hrynkiewicz**, **Bolesław Hrabiński**, **Władysław Kozłowski** i **Jan Czarapuk**. Ich świadomość narodową kształtowały i umacniały propagowane w organizacji pieśni, książki, gazety, wygłaszane referaty i wspólne wieczorki. Jedną z form działalności były wyjazdy na wieś. Pierwszy taki wyjazd odbył się w 1910 roku właśnie na Sokólszczyznę, do majątku Krysztoforowo, z przedstawieniem „Po rewizji" oraz deklamacjami wierszy i referatem. Jak wspominała, należąca do tego koła, **Ludwika Siwicka** („Studenckaja Dumka", 1925 r., nr 3(4), 4(5): „Вялізарная саля, паміма дрэннай пагоды, была поўная людзей з вёсак: Мілянкоўцы, Пачаранеі Бернікі".

W roku następnym w majątku Dubnica zaprezentowano spektakl „Modny szlachciuk" Karusia Kahomca. Obejrzeli go mieszkańcy Bielan, Chworościan i Strelczyków.

6 stycznia 1912 roku we wsi Sieruciowce urządzono choinkę dla dzieci, na której rozdawano, oprócz cukierków, kalendarze, książki, „Naszą Niwę" i „Biełarusa".

Stanisław Hrynkiewicz urodził się 2 lutego 1902 roku w Nowym Dworze. Po ukończeniu medycyny w Poznaniu pracował jako lekarz m.in. w klinice psychiatrycznej w Choroszczy (1935-37). W ruchu białoruskim znany jako autor popularnonaukowych broszur i pojedynczych artykułów na temat zdrowia i chorób. Publikował je w „Studenckaj Dumcy", „Krynicy", „Zarancy" i „Kałości". W 1944 roku, w kilka dni po zajęciu Wilna przez Sowietów, został aresztowany. Po zakończeniu drugiej wojny światowej na mocy decyzji Trybunału Wojennego Okręgu Litewsko-Białoruskiego z 18 maja 1945 r. rozstrzelano go pod Mohylowem.

Bolesław Hrabiński urodził się w 1899 roku w Ureczynszczyznie (Wroczyńszczyźnie) koło Dąbrowy Białostockiej. Studiował medycynę na Uniwersytecie Stefana Batorego w Wilnie (studia ukończył w 1926 roku). Był działaczem Białoruskiej Chrześcijańskiej Demokracji, z ramienia której w 1928 roku kandydował do Sejmu. W czasie okupacji niemieckiej był przewodniczącym Białoruskiego Komitetu Narodowego w Wilnie. Jak wspominał Maciej Konopacki, „był to najbogatszy Białorusin w Wilnie i nawet Niemcy leczyli u niego zęby". Tuż przed końcem wojny wyemigrował na


Bolesaw Hrabiński

Zachód, osiadł w USA. Zmarł na Florydzie 20 sierpnia 1991 roku.

Władysław Kozłowski z Zalesia (ur. 1896 r.) z ruchem białoruskim związał całe swoje życie. W 1919 roku organizował na Sokólszczyźnie szkolnictwo białoruskie, w 1920 r. był instruktorem oświatowym w powiecie ihumeńskim. Działał też w Białoruskiej Komisji Wojskowej. Każdorazowy przyjazd do rodzinnego domu poświęcał na spotkania z miejscową młodzieżą i zbieranie folkloru białoruskiego. W 1930 roku w Wilnie wydał „Biełaruskija narodnyja pieśni z Sakolskaho pawietu". Pracując „na karyść biednaho, prostaho biełaruskaho narodu" w Wilnie włączył się w ruch narodowo-socjalistyczny i wydawał gazetę „Nowy Szlach". 13 listopada 1943 r. w Mińsku jako redaktor „Białoruskiej Hazety" zginął od kuli radzieckiego partyzanta. Pozostawił po sobie liczne publikacje. Niestety, w żadnej z polskich bibliotek czytelnik ich nie znajdzie — tak przynajmniej wynika z katalogu centralnego Biblioteki Narodowej w Warszawie.

Jan Czarapuk z Nowego Dworu, (12.08.1896–16.11.1957), jako przedstawiciel dyplomatyczny Białoruskiej Republiki Ludowej, w 1923 roku wyemigrował do USA i stał się jednym z najbardziej aktywnych działczy emigracji białoruskiej.

Wszyscy oni byli katolikami i porozumiewali się w języku białoruskim. Jak mówili mi niedawno starsi mieszkańcy Korycina, jeszcze po drugiej wojnie światowej nikt u nich po polsku nie rozmawiał — poza administracją, nauczycielami i księdzem. Co zatem decydowało o białoruskiej świadomości narodowej na katolickiej Sokólszczyźnie?

W swoich wspomnieniach **Dominik Aniśko** (ur. 12.01.1888 r. w Słojnikach, zm. 28.12. 1972 r. w Londynie) pisał:

„Кончыў я Гарадзкую Школу (w Sokółce — **H.G.**) у 1906 годзе. Яшчэ перад гэтым часам пачаў я даходзіць да беларускай нацыянальнай сьведамасьці. Бо тут у нас яшчэ яе ня было. Каталікоў называлі „польскімі", а праваслаўных „рускімі". Але ў школе гэтая тэрміналёгія ўжо ня была дастатковая. Нават з геаграфіі бачылася, што на сьвеце жывуць усялякія народы. Да якога-ж тады я належу? Да польскага хіба што не! Бо нашая мова — зусім іншая! Аднаго разу, як быў я ў Горадні, праходзячы па Саборнай вуліцы, спасьцярог у вакне польскай кнігарні „Беларускую Дудку". Зразумела, што адразу яе купіў. І гэта была першая кніжка — беларуская! Прадмова да гэтай кніжкі вельмі мяне парушыла і ўмацавала ў пра-


Spotkanie prezydenta Białoruskiej Republiki Ludowej, Mikoły Abramczyka, na lotnisku w Chicago (1953 r.). Jan Czarapuk stoi pierwszy z prawej.

кананьні, што я беларус. („Божым шляхам", 1972, нр 1, с. 5).

Dominik Aniśko był działaczem Białoruskiej Chrześcijańskiej Demokracji, korespondentem „Biełarusa", „Biełaruskaj Krynicy", „Chryścijanskaj Dumki". Napisał broszury: „Usio u miłaści", „Da biełaruskaho narodu". Zebrał też „Našy prykazki z pad Sakolki", rękopis których przechowywany jest w Bibliotece Białoruskiej Akademii Nauk w Mińsku.

Budzenie białoruskiej świadomości narodowej na Sokólszczyźnie to także zasługa koła białoruskiego przy Wileńskim Seminarium Duchownym, w którym uczyli się wspomniani już **Adam Byczkowski** i **Władysław Kozłowski.**

Wiktor Woroszylski

Mowa

Ksiądz Jerzy
dzieckiem
mówił tylko po prostemu
to znaczy po białorusku
szeleszczącą mową
tych pól zagajników pastwisk

Dopiero później
polszczyzna
ogarnęła go silnym ramieniem
weszła w niego
przemówiła nim do Boga i ludzi

Może teraz
kiedy stanął przed tronem
znów odezwał się w zmieszaniu
mową dzieciństwa
Baćka
prabacz im kali łaska

I Pan usłyszał
te proste słowa

„Z podróży, ze snu, z umierania",
Poznań 1992

Takie koło jak w Wilnie w 1912 roku powstało również przy Katolickiej Akademii Teologicznej w Petersburgu. Należeli do niego m.in. **ks. Stanisław Szyroki** (ur. w 1881 roku w Czepielach k. Kuźnicy Białostockiej, jako wnuk unickiego księdza Grzegorza Szyrokiego, zm. w Kuźnicy w 1956 r.) i **ks. Antoni Niemancewicz** (ur. 1893 r. w powiecie sokólskim, zm. w 1943 roku w niewyjaśnionych okolicznościach).

Ks. Stanisław Szyroki, będąc od 1924 roku proboszczem parafii w Janowie, opisał i wydał w Białymstoku w 1936 roku jej monografię (firmowaną przez oddział Polskiego Towarzystwa Krajoznawczego).

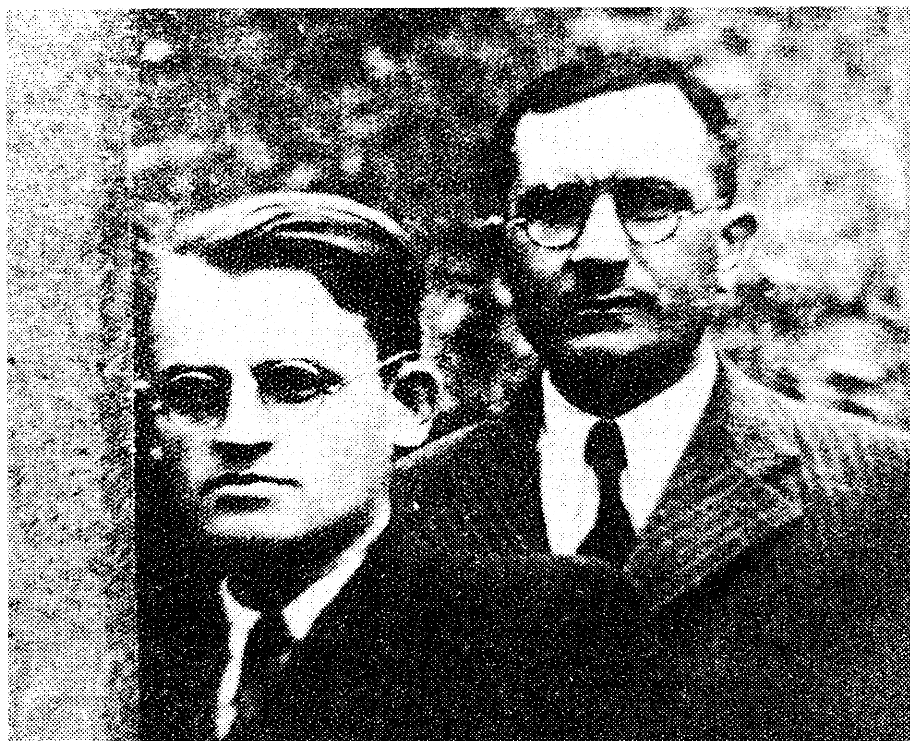
Ks. Antoni Niemancewicz w 1929 roku powrócił ze studiów w Rzymie, gdzie obronił doktorat na temat „Bolszewickie prawo w Rosji w stosunku do religijnego i moralnego wychowania dzieci w porównaniu z prawem boskim i naturalnym". W Jezuickim Nowicjacie w Albertynie k. Słonimia przyjął obrządek wschodni i wydawał unickie czasopismo „Da złuczeńnia". W czasie wojny został aresztowany przez gestapo.

Inni świadomi katoliccy księża białoruscy — **Konstanty Stepowicz** w Korycinie (1916-1918) i **Józef Hermanowicz** w Dolistowie (1913 r.) nie mogli wiele zdziałać dla Białorusinów Sokólszczyzny, gdyż jako Białorusini byli prześladowani przez hierarchię kościelną.

Do osób z Sokólszczyzny, które wpisały się w historię Białorusi, należy też zaliczyć **Franciszka Hryszkiewicza**, urodzonego w 1905 roku (1906?) w Suchowoli, który ukończył Wileńskie Białoruskie Gimnazjum (w 1926 r.) i Uniwersytet Karola w Pradze (w 1931 r.), gdzie uzyskał tytuł doktora filozofii. Po odbyciu służby wojskowej pozostawał bez pracy. W czasie drugiej wojny światowej został dyrektorem macierzystego gimnazjum w Wilnie, w którym nauczał też literatury białoruskiej. Mimo swych poglądów lewicowych, w lipcu 1944 r. był aresztowany i zginął tragicznie w więzieniu w Mińsku.

Od 1924 roku publikował wiersze, w 1927 roku w Wilnie ukazał się jego zbiorek poezji „Wiesnawyja melodyi". Pisał też recenzje oraz tłumaczył na język białoruski literaturę czeską, słoweńską, ukraińską i niemiecką.

Dyplom doktora filozofii Uniwersytetu Karola w Pradze uzyskał też **Mikoła Czarniecki** (ur. 22 maja 1903 r.) rodem z Ozieran Małych. Uczył się w seminarium nauczycielskim w Świsłoczy. Po studiach w Pradze (1923-29) wrócił do rodzinnej wsi i przygotował inscenizację „Paulinki" Janki Kupały, którą do dziś pamiętają starsi mieszkańcy Ozieran. W latach trzydziestych związał się z wileńską grupą skupioną wokół czasopisma „Zołak" — organu „maładoj sacyjalistycznaj dumki". W przełomowych momentach historii wracał do rodzinnej miejscowości. Tak było w roku 1939, kiedy został dyrektorem dziesięciolatki w Krynkach, tak było też w 1941 roku, kiedy zaczęła się niemiecka okupacja. Został zabity w 1944 r., a jego grób znajduje się na prawosławnym cmentarzu na Wygodzie.



Wydawcy „Zołaka", Auhim Aniśka i Mikałaj Czarniecki

Z dziejami młodej Białorusi Radzieckiej związał swój los **Władysław Dzierżyński** (prawdziwe nazwisko **Czarżyński**). Urodził się w 1898 roku w Starej Kamiennej. W latach zawieruchy wojennej na początku wieku ukończył gimnazjum w Mińsku. Jakiś czas był nauczycielem na Łahojszczyźnie. W 1925 roku ukończył Uniwersytet Państwowy w Mińsku i zajął się badaniem literatury białoruskiej i światowej w Instytucie Kultury Białoruskiej. W 1931 roku został zesłany do Kazania, gdzie pozostał do końca życia (zm. 2 kwietnia 1974 r.). Do 1971 r. pracował tam jako wykładowca języka niemieckiego.

Z Sokólszczyzny pochodził nauczyciel wiejskiej szkoły w Szudziałowie, **Jan Trośka**, który w 1913 roku naraził się inspektorowi Dmitrowskiemu i dyrektorowi Tymińskiemu i został wyrzucony z pracy za to, że w jego pokoju nie było świętych obrazów. W latach dwudziestych działał w białoruskim ruchu oświatowym na Mohylowszczyźnie.

Wiele innych postaci związnych z ruchem białoruskim, a pochodzących z Sokólszczyzny, zostało zapomnianych. Ślady po nich czasem odnajdują historycy lub osoby interesujące się odchodzącą w niepamięć kulturą tych terenów. Losy dwóch Białorusinów z Sokólszczyzny odkryli niedawno historycy z Białoruskiego Towarzystwa Historycznego — Wiesław Choruży (M. Czarnieckiego) i Oleg Łatyszonek (J. Czarapuka).

Postacią **Jana Tarasewicza**, kompozytora z majątku Szyndziel k. Sokółki, przed paroma laty niemal jednocześnie

zainteresowali się śpiewak operowy z Mńska, Wiktar Skarabahatau i dziennikarka „Niwy", Hanna Kondratiuk.

Jan Tarasewicz (1886-1961) w 1903 roku ukończył Korpus Kadecki w Połocku i wstąpił do Konserwatorium w Petersburgu, gdzie studiował pianistykę i kompozycję u łotewskiego muzyka, Józefa Witala. W czasie pierwszej wojny światowej był zmobilizowany do armii. W 1920 roku wrócił w rodzinne strony i został nauczycielem muzyki w gimnazjum grodzieńskim Aleksandra Hrykowskiego. Okres międzywojenny jest najmniej znany w jego biografii. Wiadomo, że w latach 1939-40 przebywał na Łotwie. Kiedy powrócił do rodzinnego majątku, zastał same ruiny. Wybudował sobie domek w Sokółce. Po wojnie mieszkał w Białymstoku i pracował jako nauczyciel w szkole muzycznej. Jego wychowankiem jest m.in. Jerzy Maksymiuk.

Jan Tarasewicz skomponował muzykę do utworów Maksima Bahdanowicza, Franciszka Bahuszewicza, Jakuba Kołasa.

Szczątkowe ślady po innych osobach rodem spod Sokółki, związanych z ruchem białoruskim, rodzą tylko pytania. Kim był **Olga Jakuła**, która jako młodziutka nauczycielka zmarła we wsi Waroni Łuh. Czy istnieje dziś ta miejscowość? Moje poszukiwania na mapie zakończyły się niepowodzeniem. Kto zakładał w 1927 roku koło Białoruskiego Instytutu Gospodarki i Kultury w Domurotach koło Sztabina? I jak długo ono istniało? Kto w latach trzydziestych pisał korespondencje z Sidry do „Białoruskiej Krynicy", podpisując się „**M. Sul.**" albo „**Суладзімір**"?

Pytań jest znacznie więcej. Ale najważniejsze dotyczą dzisiejszej obecności tych wszystkich białoruskich bohaterów narodowych w świadomości przeciętnego Sokólszczanina. Dlaczego nie ma w niej miejsca na bogatą tutejszą wielokulturowość, wyrosłą na gruncie etnicznie białoruskim?

Dopóki jednak będzie tam żywy „prosty język", Sokólszczyzna dla ludzi z zewnątrz wciąż pozostanie fenomenem — tak, jak w wierszu „Mowa" Wiktora Woroszylskiego, poświęconym ks. Jerzemu Popiełuszcze.

Ale czy spełni się marzenie Władysława Kozłowskiego: „Pryjdzie toj czas, da swaich ja wiarnusia"?

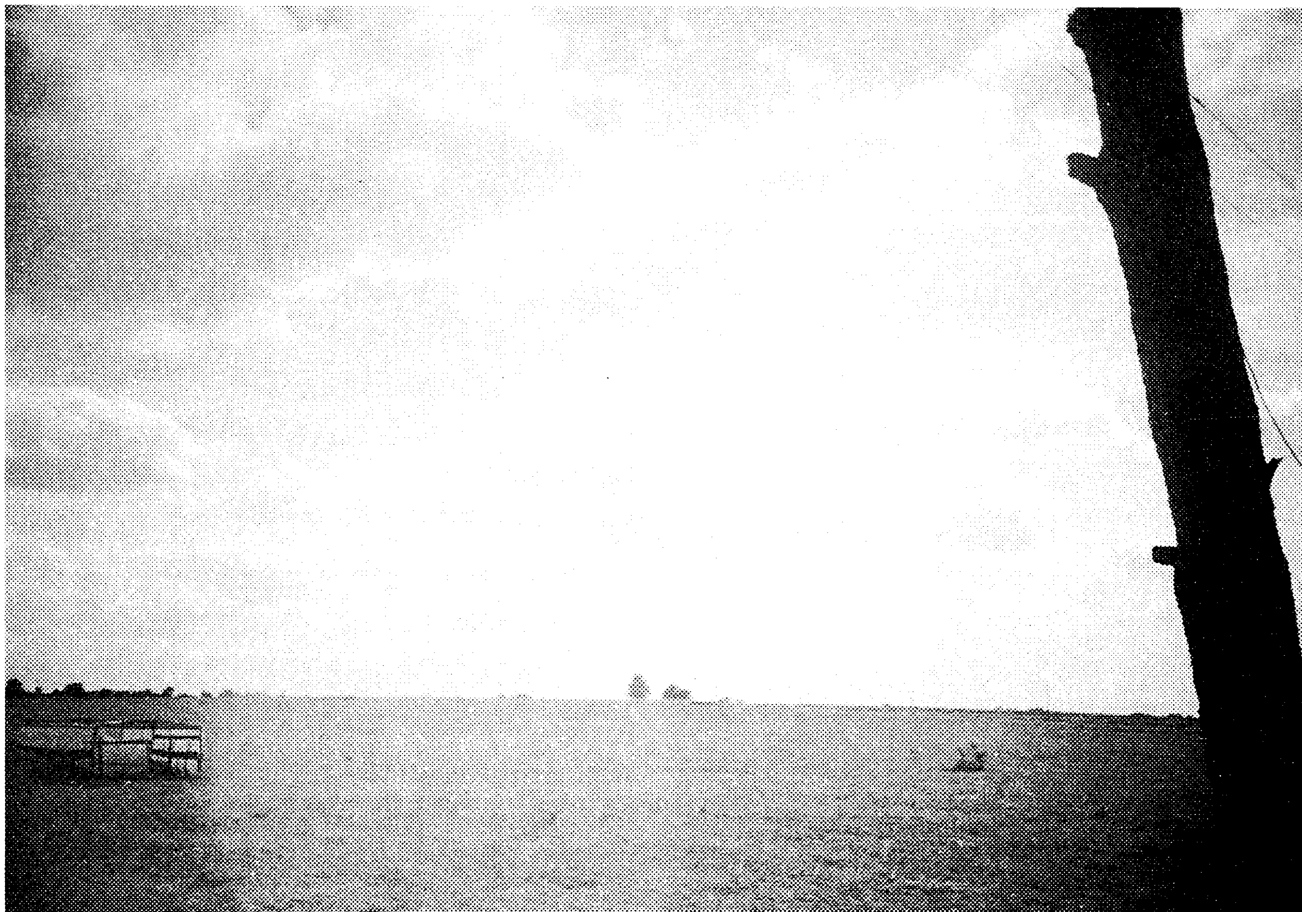
Helena Głogowska

Fot. ze zbiorów Białoruskiego Towarzystwa Historycznego

Irena Matus

Ziemia, miłość i dola kobieca

Świat dawnej wsi kręcił się wokół ziemi. Była jedynym wyznacznikiem chłopskiej zamożności. Miała przeogromną wartość i decydowała o szczęściu lub niedoli ludzi. Bogatym przysparzała radości, dla biednych stawała się przekleństwem. Gmatwała ludzkie losy, brutalnie niszczyła wszelkie uczucia. To przez nią wylewały łzy panny bez posagu i synowie bogatych gospodarzy zakochani w biednych chłopkach.



Ziemia, bezcenna przed laty, teraz często leży odłogiem, nikomu niepotrzebna

Ziemia, gdy było jej dużo, dawała właścicielowi powszechny szacunek. Jej niedostatek przyczyniał się do nieporozumień, kłótni, a nieraz prowadził do tragedii. Często dochodziło do procesów o przysłowiową miedzę, na tym tle zdarzały się nawet przypadki zabójstw.

Nie miłość, a ziemia

Wsie nadnarwiańskie były przeludnione, a rozdrobnienie gruntów ogromne. Panował ciągły głód ziemi. Możliwości jej kupna były bardzo ograniczone. Ziemi pozbywano się tylko sporadycznie — z powodu wyjazdu lub przesiedlenia. Zdarzało się, chociaż rzadko, że gospodarstwo przepijano albo przegrywano w karty. Możliwość dokupienia ziemi pojawiała się też w przypadku wymarcia jakiegoś rodu. Na powiększenie areału gospodarstw chłopom brakowało jednak pieniędzy. Znalezienie dodatkowej pracy nastręczało wiele trudności. Praktycznie jedyną możliwością dorobienia dla mężczyzn była orelka, czyli spław drewna, zaś dla kobiet pójście na służbę, głównie do Żydów. Nie dawało to jednak perspektyw szybkiego wzbogacenia się.

Poprawę sytuacji materialnej widziano za to w intratnym ożenku. Dlatego młodzi, zawierając związki małżeńskie, rzadko kierowali się uczuciem. Najczęściej decyzję podejmowali za nich rodzice. W rodzinach zamożniejszych decydował o tym zawsze ojciec. Często bez wiedzy samych zainteresowanych i nierzadko wbrew ich woli. Liczyła się tylko ziemia i nic poza tym. Nieważna była uroda i inne walory osobiste przyszłej synowej. W grę wchodziło tylko to, co wnosiła ona w posagu — pole, łąka lub las. Ziemia była główną kartą przetargową w małżeństwie. Panna, która ją miała, zamążpójściem nie musiała się martwić. Mogła być brzydka jak noc, kulawa lub garbata, a w kawalerach — i to przystojnych — jeszcze przebierała.

Pary kojarzono według potrzeb gospodarstwa. Brakowało łąki, szukano panny z takim posagiem. Jeśli licha była chałupa, najcenniejszym wianem stawał się kawałek lasu.

Uczucia w ogóle się nie liczyły. Miłość — mawiano — przyjdzie po ślubie. Ale najczęściej nie przychodziła i pod jed-

nym dachem zamieszkiwały obce sobie osoby. A dzieci sypały się jak z rękawa.

O uczuciu miłości kiedyś na wsi otwarcie nie mówiono. Tym bardziej o seksie, chyba że rubasznie czy wręcz wulgarnie. Szczególnie kobiety traktowały to jako temat bardzo wstydliwy. O miłości śpiewano tylko w lirycznych piosenkach, zaś seks był motywem wielu sprośnych przyśpiewek.

Synowa-teść

Nie do pozazdroszczenia był los młodej mężatki. W jednej chałupie mieszkało nieraz dwóch i więcej braci z rodzinami. Działo się tak, kiedy ojciec zwlekał z podziałem ziemi pomiędzy synów. Jak najdłużej chciał być najważniejszy w rodzinie. Synowe starały się jak mogły, by przypodobać się teściowi. W jego rękach był los ich i ich dzieci. Od niego zależało, jak ziemia zostanie podzielona pomiędzy synów, jaki posag da wychodzącej za mąż córce. Zdarzały się też przypadki wydziedziczania. Dla ziemi poświęcano więc nawet dobro własnych dzieci. Dlatego matki swe dorastające córki uczyły pokory, tłumacząc: „swikrowi treba dobre uhoditi". W praktyce, szczególnie po tym, jak stary w końcu przepisał ziemię, bywało różnie. Ale póki był prawnym właścicielem, od niego zależała pozycja synowej w rodzinie. Stąd co chytrzejsze młódki dogadzały bardziej staremu niż mężowi, wiedząc kto „trzyma kasę". Kobieca natura od wieków jest niezmienna. Zawsze lubiły się stroić, marzyły o nowej chustce, trzewikach czy koralach. Takie podarki mógł kupić w mieście tylko teść. Synowe przymilały się więc do niego jak tylko umiały. Wejść w jego łaski nie było wcale łatwo. Tym, które nie potrafiły się wkupić, nie pozostawało nic innego jak pójście na zarobek do bogatych gospodarzy lub do dworu. Nie do pozazdroszczenia był los nie lubianej przez teścia synowej. Wylewała morze łez, a jej życie stawało się piekłem. Matki zawsze powtarzały córkom: „Pametaj, łaskawe telatko dwi matki sse, a harde to i od swoi dostane".

Zdarzało się, że z przywiązania pomiędzy młodą synową i nadopiekuńczym teściem rodziło się głębsze uczucie. Nie było wsi, w której pokątnie nie szeptano o takich związkach. A zdarzało się i tak — jak miało to miejsce w mojej rodzinnej miejscowości — że synowa oficjalnie decydowała się na związek z teściem, a jej mąż — upokorzony — opuszczał swój dom. Najczęściej jednak syn takie sytuacje cierpliwie znosił. Milczał, na ile pozwalała mu męska duma, świadom, że w każdej chwili grozi mu wydziedziczenie, a to było jeszcze gorsze. Ale kiedy wreszcie wszedł w posiadanie wymarzonych zagonów, odpłacał ojcu za doznane upokorzenia i wyganiał z domu. Staruszek zmuszony był pójść na żebry, tułając się po obcych. Latem nocował w szopie lub w stogu siana. Zimą spał w oborze, ogrzewając się ciepłem zwierząt. Nie do pozazdroszczenia był los starych ludzi, nie mających żadnego zabezpieczenia finansowego ze strony państwa (nie było wtedy rent i emerytur), pozbawionych opieki dzieci.

Pod jednym dachem

Długie nieraz lata spędzone w ciasnej chałupie z mężem, dziećmi, teściami i rodzinami szwagrów dla młodych mężatek były prawdziwą szkołą życia. W takim domu nie mogło być mowy o jakiejkolwiek samodzielności. Wszyscy



Tak w chłopskich rodzinach ubierano się do ślubu w połowie lat 30. Na zdjęciu nowożeńcy z Dawidowicz, Anna Stepaniuk i Łukasz Srypluk



A tak wyglądały ślubne stroje w tym samym czasie w rodzinach ziemiańskich. Na zdjęciu młodzi państwo Dykałowiczowie z Puchłów

jedli z jednej miski, żadna synowa nie śmiała gotować oddzielnie. — Szkoda drow — uzasadniał królujący niepodzielnie ojciec.

W takiej kilkupokoleniowej rodzinie ważną pozycję zajmowała też matka-teściowa. Niańczyła i wychowywała wnuki oraz rządziła kuchnią. Przyrządzała posiłki i piekła chleb, co na wsi było rytuałem. Kuchnią zajmowała się, póki starczało jej sił.



W takich chatach mieszkały dwie-trzy rodziny

Z praniem bywało różnie. Najczęściej każda synowa prała oddzielnie, niekiedy robiły to wszystkie razem.

W chłopskich rodzinach obowiązywał ścisły podział obowiązków domowych na kobiece i męskie. Co wrażliwsi gospodarze wykonywanie „babskiej roboty" uważali za ujmę na honorze mężczyzny. Dlatego, jeśli mąż chciał pomóc żonie, musiał to robić po kryjomu. Kobiety wykonywały nawet bardzo ciężkie prace. Do takich należało np. gniecenie lnu w tzw. łamaczu. Tylko nieliczni mężczyźni pomagali swej połowicy. Ukradkiem, aby nie zobaczyli sąsiedzi. Gdy się wydało, wieś naśmiewała się, nazywając takiego chłopa „babski popychacz". Kobiety bały się prosić o pomoc mężczyzn. Kiedyś w Kaniukach pewna żona zechciała, aby jej mąż poszedł po wodę do studni. Ten spełnił prośbę i przyniósł... pięćdziesiąt wiader, wylewając wodę wprost za próg. Na nic zdały się błagania zrozpaczonej kobiety, gdy woda lała się strumieniami po glinianej polepie izby. Więcej już nie poprosiła.

W domu rządził mężczyzna. Kobieta musiała mu być we wszystkim posłuszna. W długie jesienne i zimowe wieczory niektórzy mężczyźni chętnie grywali w karty. Gracze dobierali się nawet z kilku wsi i grali do późna w nocy. Żona bała się podejść nawet pod okno i poprosić męża na kolację, a co dopiero kazać mu iść do domu. Rządzenie kobiety było źle widziane. Mężom po prostu nie wypadało słuchać baby.

Często zdarzało się, że kobiety bito. Przemoc w rodzinie w dawnej wsi była zjawiskiem powszechnym. Mężowie bili swe żony tak w domu, jak też na podwórku, ulicy i w polu. Nie wstydzili się rękoczynów przed mieszkańcami. Dawna wieś takiego postępowania nie potępiała. Niektórzy mężczyźni brutalne traktowanie żony uważali za coś jak najbardziej normalnego, nawet tym sobie schlebiając. Popularne było powiedzenie: „Jak mużyk baby ne bje, to joj peczunka hnije". Żal i gorycz ciężkiej chłopskiej doli mężowie wyładowywali na plecach swych żon.

Dola prymaka

W dawnym środowisku wiejskim kobietom bardzo rzadko okazywano należny im szacunek. Często traktowano je nawet z pogardą, nazywając „głupimi babami". Przyzwyczajone do upokorzenia, znosiły to z pokorą. Żaliły się co najwyżej jedna drugiej. Nie miały innego wyjścia, bo dokąd mogły pójść? Każda żona z góry skazana była na łaskę męża. W lepszej sytuacji były tylko te, które miały męża w „prystupach". Wtedy sytuacja była odwrotna, mężczyzna był na łasce kobiety.

Kiedy chłopiec był synem bezrolnego chłopa bądź całą rodzinną ziemię ojciec przekazał bratu, jedynym ratunkiem było wżenienie się. Musiał jednak pogodzić się z poniżeniem i uległością wobec żony do końca życia. Wśród chłopskiej społeczności taki mężczyzna uchodził za gorszego. Dlatego chłopcy z wiejskiej biedoty, bez ziemi, nieraz woleli żyć jak żebracy, niż pójść w prymy. Doli prymaka bano się niczym przysłowiowego ognia. Stała się ona tematem wielu piosenek. Oto fragment jednej z nich:

Ore prymak ore, woły pohaniaje
chto w prystupach ne bywaje
toj hora ne znaje.
A ja bidnyj toj w prymaczeńkach bywaw
toj kułaczeńki pod hołowu i spati lahaw.

Albo:

Dola moja dola po poli błudiła
na sztoż mene mati bez doli rodiła

***

Dzisiejszemu młodemu pokoleniu zapewne trudno jest uwierzyć w te opowieści. Ziemia, która dla ich przodków była wszystkim, dziś leży odłogiem, nikomu niepotrzebna, bezpańska, bez wartości. Gdzieniegdzie już porosła lasem, a tam, gdzie jeszcze użytkuje się ją rolniczo, właściciele zapomnieli, czym była dawniej. Pielęgnowane przez wieki przywiązanie do ojcowskiego zagonu już dawno straciło sens. Stało się pustym, nic nie znaczącym terminem, niepojętym dla współczesnych uczuciem. Pozostaje tylko nadzieja, że lud nadnarwiański kiedyś jeszcze się obudzi.

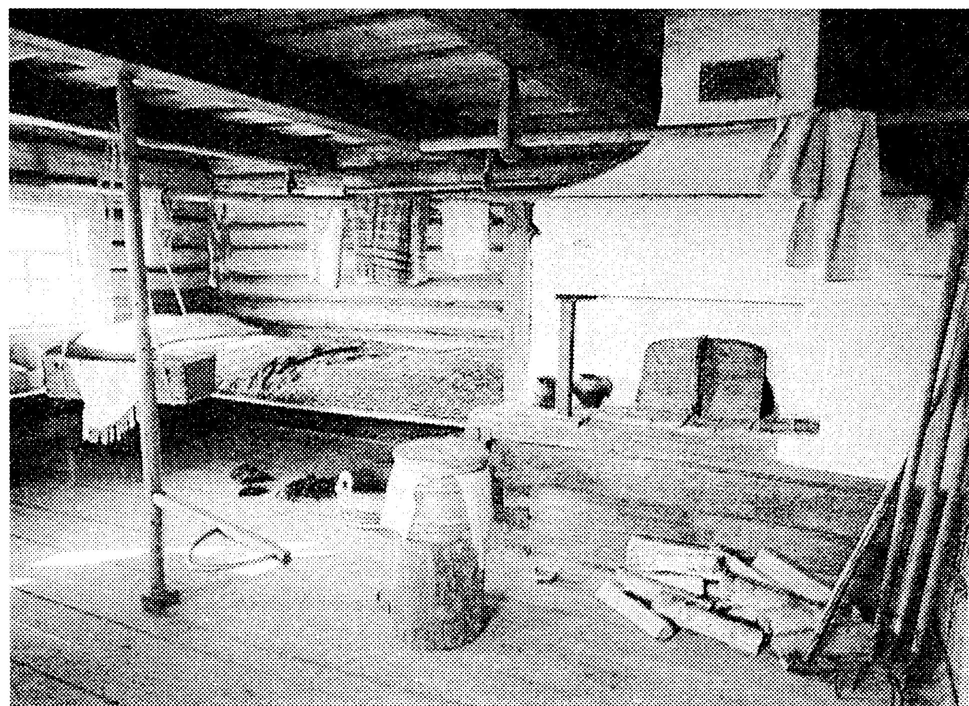
Irena Matus

Fot. ze zbiorów Autorki

*W tekście wykorzystano wspomnienia **Włodzimierza Naumiuka** z Kaniuk.*

W poprzednim odcinku z tego cyklu opublikowano zdjęcie rodziny Pietruczuków ze wsi Hukowicze, a nie — jak głosił podpis — Klukowicze. Za pomyłkę przepraszamy.

Redakcja



Wnętrze zamożnego chłopskiego domu. Na podłogę z desek mogli sobie pozwolić tylko bogatsi gospodarze

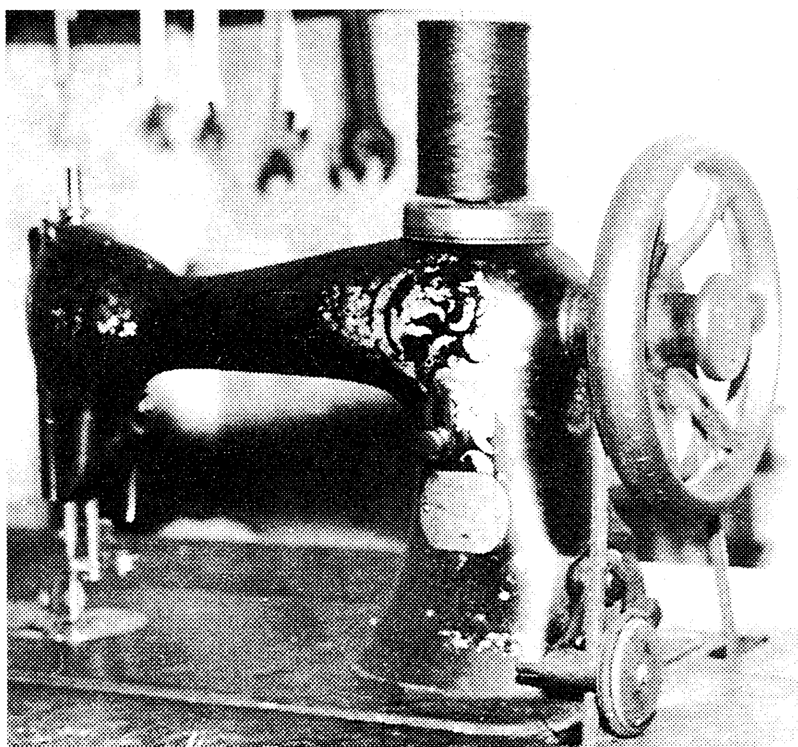
Michał Mincewicz

Szewcy i cholewkarze

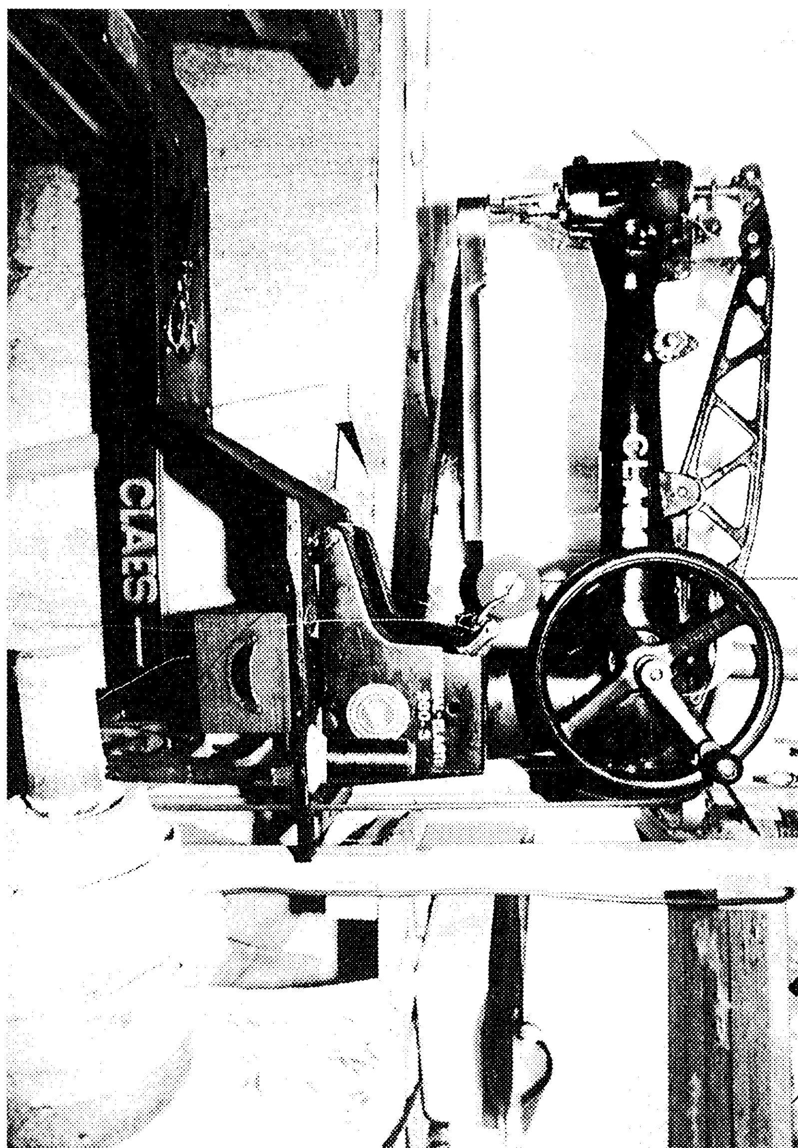
— Kiedyś od nawału klientów nie zamykały się drzwi w naszej chacie, a ludzie, aby mieć gotowe buty na zimę, już w żniwa musieli je zamawiać — wspomina Nadzieja Lemiesz, 69-letnia wdowa po szewcu-cholewkarzu Filipie z Mikłasz w gminie Orla.

— Świętej pamięci mąż wykonywał buty skórzane i filcowe na zamówienie, w tym wiele całkowicie własnego pomysłu. Urodzony w 1929 roku, zdążył ukończyć tylko dwie klasy szkoły powszechnej w Orli, bo jak przyszli sowieci, cofnęli wszystkich uczniów o rok. Potem, za Niemca, gdy miał 12 lat, rodzice oddali go za opłatą na naukę do orlańskiego szewca Jana Świąteckiego. Po wojnie 15-letni Filip pracował z rodzicami na gospodarstwie i już wtedy sam naprawiał i robił ludziom buty.

Jak pobraliśmy się w 1951 roku, to przez dwanaście następnych lat mieszkaliśmy z rodzicami. Wkrótce przyszła na świat trójka dzieci, a męża przyjęli do pracy w Rzemieślniczej Spółdzielni Szewców i Cholewkarzy „Solidarność" w Bielsku Podlaskim, gdzie w sumie przepracował blisko 20 lat. W 1963 roku wprowadziliśmy się do własnego domu, w którym mąż miał już osobne pomieszczenie do pracy. Wtedy właśnie kupił z ogłoszenia w „Gazecie Białostockiej" dwie maszyny szewskie z nożnym napędem — starego „Singera" produkcji amerykańskiej z 1894 roku i równie starą tzw. „łaciarę" — praworamienną maszynę firmy CLAES.



Singer z 1894 roku...



...i „łaciara" firmy CLAES

— Od 1972 roku, przez siedem lat, mąż pracę zleconą przez spółdzielnię wykonywał w domu — kontynuuje swoje wspomnienia pani Nadzia. Jesteśmy w pracowni jej męża. W kącie, pod oknem na półce, spoczywają pokryte kurzem, złożone jeszcze ręką fachowca, kawałki skóry, gumy, kawałki podeszw... — Szył wierzchy do przemysłowych butów wiosenno-zimowych, takie robocze kamasze — opowiada moja rozmówczyni. — Od śmierci męża w majsterni nikt niczego nie rusza, wszystko pozostaje na starym miejscu... Chociaż wnuki już duże i przydałoby się tę pracownię przerobić im na pokój. Syn jest na rencie chorobowej.

43-letni Mikołaj, syn Filipa, wspomina swoją pracę z ojcem. — Przez rok, przed pójściem do wojska (marzec 1973), pracowałem w domu razem z ojcem. Przyuczałem się w tej samej spółdzielni, w której on był zatrudniony. Ojciec był bardzo dobrym fachowcem i dlatego zawsze miał pełne ręce roboty. Szyte wtedy walonki były bardzo modne i praktyczne. I zimy były jakieś normalniejsze, ze śniegiem, mrozem... Nie to, co dziś.



Legitymacja Filipa Lemiesza ze Spółdzielni „Solidarność"

Buty z szuby

„Za komuny" bywało tak, że ojciec nie mógł normalnie kupić filcu i skóry, jeździł więc gdzieś w Polskę w poszukiwaniu towaru. Znał dobrze szewców, którzy mieli przywilej zakupu potrzebnych materiałów na przydział. Ojciec był dobrym fachowcem, ale i trochę wynalazcą. Pod koniec lat 70. rozpoczął szycie damskich i dziecięcych butów filcowych i filcopodobnych, całkowicie swego pomysłu, których dotychczas nigdzie w sprzedaży nie było. To były trudne czasy. Na zimę potrzebne były buty, a ludzie nie mieli pieniędzy. Choć brakowało filcu, to w wielu domach można było znaleźć walający się gotowy materiał na buty: stare filcowe płaszcze-szuby, ubrania kolejarskie... Ojciec wpadł na pomysł, żeby z tego szyć zimowe buty, co bardzo spodobało się ludziom. I opłacało. Zszywał dwie warstwy materiału filcowego, a w środek wkładał gazety. Podeszwy robił z grubej gumy lub ze skóry, podeszwy i cholewki obszywał dekoracyjnie skórą. Uszyte kozaki miały taki kolor, jak

płaszcz użyty do ich wyrobu. Pamiętam, że w czasach, gdy buty były na kartki, do ojca przyjeżdżali ludzie nawet z centralnej Polski i ze Śląska, a czasem i z zagranicy. Ojciec jak chciał, potrafił uszyć wszystko, kabury do pistoletów, portfele, piękne portmonetki, buty oficerki. I gdyby nie jego zbyt „towarzyskie" podejście do życia, „biesiadny" charakter, to — na owe czasy — mógłby pewnie własnym „mercedesem" jeździć.

W latach 80. ze spółdzielni zwolniono wszystkich, którzy nie mieli ukończonej szkoły. Ojciec odszedł i zaczął pracować na swoim 4-hektarowym gospodarstwie. Zachorował, poddał się ciężkiej operacji strun głosowych, po której przeszedł na rentę. Sporadycznie jeszcze szył lub reperował buty. Z przyzwyczajenia ludzie szli „do Filipa", ale pracy nie było już za wiele.

W 1990 roku Filip Lemiesz zmarł na atak serca. W pamięci okolicy pozostał na zawsze jako człowiek pogodny i, jak mówią, „fachowiec, że drugiego takiego nie ma".

Jedyny szewc na cały Bielsk

— No proszę, dochodzi południe, a ja jeszcze przysłowiowych pięciu groszy nie zarobiłem. I tak może być przez cały dzień — mówi pan Józef Rzepniewski, 55-letni mieszkaniec Orli, gdy odwiedzam jego zakład szewski w Bielsku Podlaskim. — Już od kilku lat jest coraz gorzej i gorzej. Na cały Bielsk jestem jedynym pracującym na pełnym etacie szewcem. Tu obok pracuje na pół etatu emeryt. A jeszcze w latach 60. i 70. w Bielsku było chyba z dwunastu szewców. Dziś jest to już zawód zanikający.

Dlaczego tak się dzieje? — zastanawia się pan Rzepniewski. — Otóż dlatego, że towary na reperację są drogie, a nowe buty to „bubno" (mało trwałe — autor) i nie opłaca się klientowi reperować. Przykładowo, takie damskie buty kupi za piętnaście złotych, a same tylko fleczki przy naprawie kosztują osiem złotych. To kobieta woli wyrzucić zniszczone buty i kupić nowe, niż nieść je do szewca.

Drugiego lipca tego roku minęło już piętnaście lat jak tu pracuję — sięga pamięcią do wspomnień pan Józef. — Urodziłem się w marcu 1942 roku w Tyniewiczach Małych. Do szkoły podstawowej chodziłem w Hryniewiczach, potem w Haćkach, a w 1955 roku poszedłem uczyć się na szewca do bielskiej Spółdzielni „Solidarność". Było nas wtedy czternastu uczniów. Naukę w tej szkole zaczynało się od ostrzenia noża szewskiego. Robiono je z blachy. Nieraz zdarzało się, że majster wytrzaskał kogoś to po uszach, to po łbie za fuszerkę. Później uczniowie robili dziecięce sandałki. Nie było wtedy butów, które od początku do końca tylko się kleiło, tak jak to bywa dzisiaj. Jeśli klej był potrzebny, robiło się go samemu. Gotowało się go z żytniej mąki, dodając wściekłeczkę. Często szyło się ręcznie, choć i maszyny już wtedy były.

Dzisiaj też zdarza się szyć ręcznie, ale rzadko i tylko w tych miejscach, gdzie nie da się podejść maszyną. W tamtych latach nie było zbyt wielkiego asortymentu obuwia, a robiło się przeważnie wiatrówki, pantofle damskie i męskie, na zimę zaś skórzane oficerki i skórzane filce. Podeszwy były przybijane wyłącznie drewnianymi gwoździami — pan Józef ochoczo prezentuje odszukane w warsztacie brzozowe gwoździki.

Mieszkałem wtedy w Bielsku u wujka Stefana Rzepniewskiego, który był szewcem i to u niego właśnie dokształcałem się. Miał on własny zakład szewski przy ulicy Kazimierzowskiej, potem na Mickiewicza, a gdy Mickiewicza zaczęli wyburzać, przeniósł się tutaj, pod Ratusz, gdzie teraz ja pracuję. Zanim osiadłem w tym warsztacie, pracowałem w różnych miejscach, przed wojskiem w jajczarni, roszarni i w „Bepie", potem w betoniarni i cegielni. W 1966 roku ożeniłem się i mieszkam z żoną w Orli. Od stanu wojennego zacząłem razem z wujkiem pracować w zakładzie szewskim. Pamiętam, że przez te nasze wspólne pięć lat roboty z powodzeniem starczało dla dwóch.

Po materiał do... Warszawy

Kiedyś były zupełnie inne przepisy prawne. Zakładu rzemieślniczego nie można było zarejestrować, jak nie miałeś czeladniczych papierów, a odpowiednie świadectwo, oprawione w ramki, musiało wisieć w widocznym miejscu na ścianie, tak by każdy klient je widział. W przeciwnym razie były kary. Ja swoje egzaminy zdałem 13 grudnia 1973 roku w Białymstoku. Pamiętam, że przystępowało do nich wtedy tylko dwóch szewców.

W latach 80. było już dużo lepiej z otrzymaniem przydziału na materiały szewskie, a jak jeszcze zawiozłeś do hurtowni jakiś „załącznik", to wszystko załatwiało się jak należy. Dzisiaj po materiał trzeba jeździć aż do Warszawy. Podróż, dojazdy do pracy, podatki, rachunki, ZUS... Ciągle tylko płać, a klientów prawie nie ma. Trochę więcej przychodzi ich wiosną i jesienią. Kiedyś robiło się na przykład dużo dziecięcych sandałków, a dziś nawet ja sam dla swojej wnuczki nie robię , bo nie opłaci się — materiał kosztuje dwa razy więcej niż gotowe buty. Nie kalkuluje się być szewcem, następców nie widać i zawód powoli ginie.

W moim zakładzie wisi na ścianie kartka „Naprawa płatna z góry!" Powiesiłem ją dlatego, że klienci nie płacili długo za usługę. Przyniesie ktoś buty do naprawy i leżą potem nie wiadomo ile czasu, aż je w końcu odbierze. A tak, jak zapłacone z góry, to jakoś klient ma lepszą pamięć.


Jedyny szewc na cały Bielsk, pan Józef Rzepniewski, w swoim warsztacie

Michał Mincewicz

Fot. Autor

Joanna Pawluczuk

Skarb z czasów powstania

Cz. II
Na własność państwa

Echa powstania dawno już przebrzmiały. Mieszkańcy Sukowicz, podobnie jak inni wieśniacy z zaboru rosyjskiego, żyli głównie nadziałami „uczastków", które carscy geodeci wykrajali im z ziem majątkowych. W większości dworów i folwarków pojawili się nowi właściciele. Poprzedni albo zginęli w powstaniu, albo rąbali syberyjskie lasy. Nowych naznaczał car spośród swych generałów, zasłużonych w stłumieniu „miacieży". Ci jednak nie bardzo kwapili się opuszczać rodzinne strony i za niewielkie pieniądze odsprzedawali dwory wszystkim chętnym.

— Na co czekamy? — Wasil co i rusz ponaglał ojca. — Aż wszystkie folwarki rozkupią?

— Bądź cierpliwy, synu, jeszcze nie teraz. Niech to wszystko się uspokoi. My przecież ciemnota, nas wyśmieją, gdy powiemy, że dwór chcemy kupować.

— Pokażemy złoto, to śmiać im się odechce.

— To wezmą zabiorą i już. I co im wtedy zrobisz?

— Musi być przecież jakieś wyjście. Inaczej w tej biedzie wszyscy pomrzemy.

— Trzeba czekać, Wasilku. Swoją ziemię już mamy i głód nam nie zagraża. Dobry Bóg da, że będziemy jeszcze bogaci. Ja może tego nie doczekam, ale ty i Mikołaj panami na pewno będziecie. Wierz mi. Teraz wiesz, dlaczego złoto zakopałem w sobie tylko znanym miejscu. Tyś młody, niecierpliwy i wszystko chciałbyś mieć od razu.

Prokop obiecał synowi, że jeśli za swego życia nie uda mu się spożytkować złota, to przed śmiercią na pewno powie mu, gdzie ukrył skarb.

*

Mijały lata. Nadzielone chłopom uczastki okazały się trudne do obrobienia. Brakowało wołów, soch, bron, ziarna, o oborniku nie wspominając. Aby wyżywić swe rodziny, sukowiccy chłopi decydowali się z powrotem iść do majątku, tym razem na licho opłacanych parobków.

Z całej wsi tylko Prokop w miarę sobie radził. Zawsze na czas obsiewał zboże, a na ugorze wypasał najwięcej bydła i świń z całej okolicy. Ludzie podziwiali, jaki to z niego mądry i gospodarny człowiek.

— Nie dość, że na majątkowe nie chodzą, to jeszcze sami najmują do pracy — dziwili się we wsi.

— Róbcie to, co ja — radził Prokop — zamiast tyrać na pana, nauczcie się jakiegoś fachu.

Był wziętym w okolicy cieślą — stawiał chaty, chlewy, stodoły, spichrze. Chłopi harowali na roli całymi rodzinami, od świtu do nocy. Dzieci posyłali na zarobek do majątku. Ludzie jako tako pomału stawali na nogi. Rozwijali swe gospodarstwa, budowali się. Wiejskim cieślom przybywało też roboty w związku z powstawaniem nowych zagród na częściach uczastków rozdzielanych przez ojca pomiędzy swych synów.

Ludzie dziwili się, że Prokop innym buduje stodoły, a sam jak mieszkał, tak mieszka w starej kurnej chacie.

— Synów już dawno pożeniłeś, to chociaż jednemu nową chałupę mógłbyś zbudować — ktoś czasem robił mu przytyk.

— A bo to nie od dziś szewc bez butów chodzi? — odpowiadał wymijająco.

Prokop bacznie rozglądał się i nasłuchiwał, jak kupić majątek. W każde święto i dzień targowy zawsze gdzieś wyjeżdżał. Na odpustach i jarmarkach wypytywał o ceny ziemi, budynków i gospodarstw. Głównie interesowały go jednak opuszczone dwory.

— A skąd chłopie weźmiesz tyle pieniędzy? — pytano z niedowierzaniem.

— Nie sobie, nasz pan kazał się rozpytać — tłumaczył.

Któregoś razu, było to wiosną, Prokop z synem przesiewali na wietrze ziarno owsa.

— Wiesz, Wasil — zaczął stary — chyba ostatni raz już siejemy. Upatrzyłem dwór.

— Gdzie, tato, gdzie?

— Aż za Grodnem. Jest tam na zbyciu niewielki majątеczek. Jakiś rosyjski wojskowy nim zarządzał, ale przepił w karty i chce sprzedać. Poznałem pewnego Żyda w Grodnie, który pomoże załatwić wszystkie papiery.

— A nie oszuka nas?

— Nie powinien, wszystko pójdzie przez bank.

— To kiedy tam pojedziemy?

— Już niedługo, jak tylko skończę stodołę w Harkawiczach.

Tego dnia lało jak z cebra. Prokop poszedł jednak do roboty. Chciał czym prędzej postawić krokwie i jeszcze przed niedzielą pokryć strzechę. Zbliżał się wieczór, gdy stawiali ostatnią krokwię. Prokop przygotował wiązankę bzu i wszedł po drabinie, by przymocować ją w najwyższym miejscu. Miało to być sygnałem dla gospodarza, by szykował gorzałkę i zakąskę. Już schodził na dół, gdy stąpił na śliski od deszczu szczebel drabiny i się poślizgnął. Spadł na klepisko. Natychmiast podbiegli pomocnicy, ale ciało nie dawało żadnych oznak życia. Prokop zginął na miejscu.

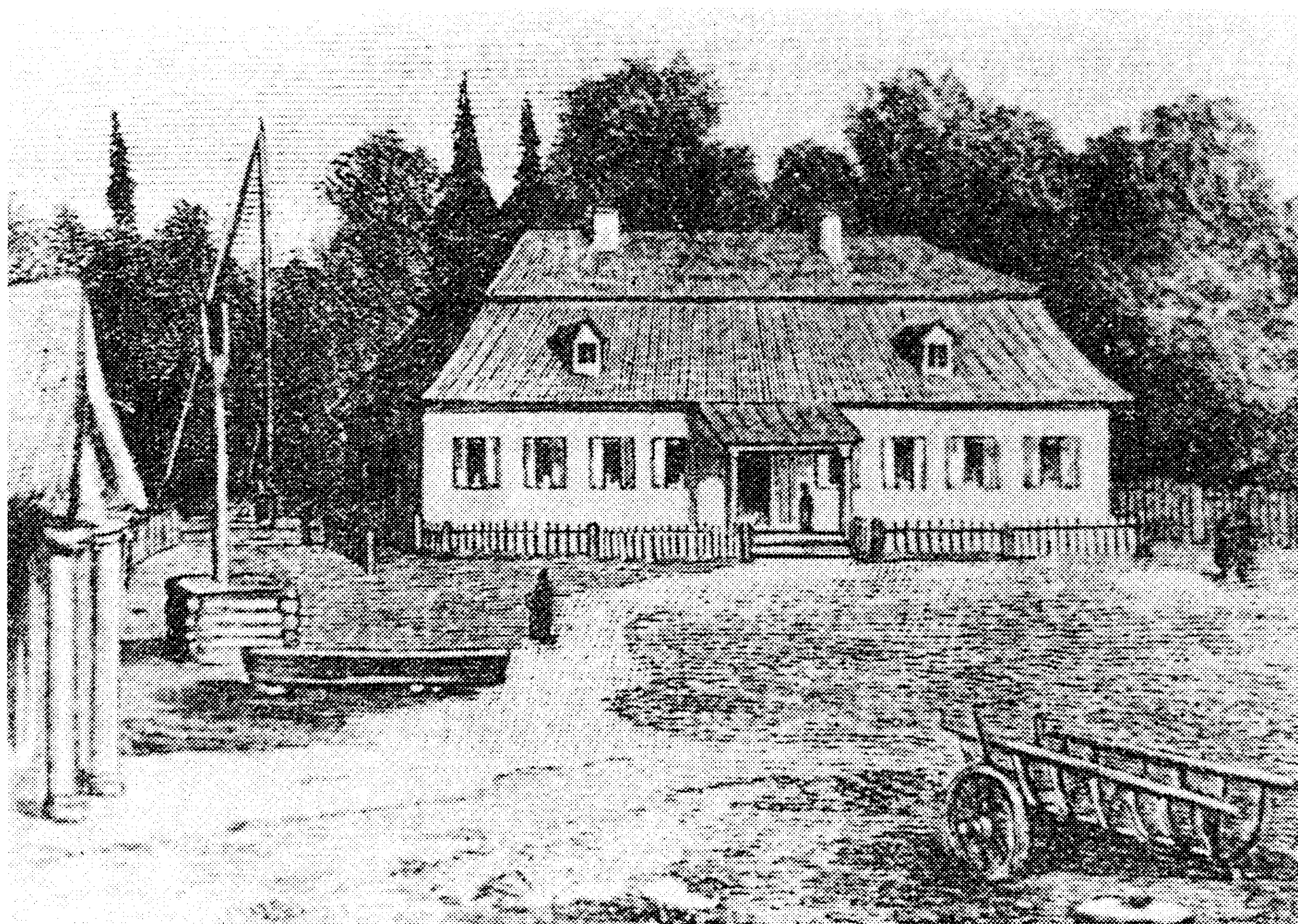
Na pogrzebie, co zrozumiałe, najbardziej rozpaczał Wasil. Ojciec, chociaż na pewno tego nie chciał, zabrał do grobu największą tajemnicę i nadzieję na polepszenie życia swej rodziny. Wasil, gdy tylko odjechali ostatni goście, wziął do ręki szpadel i zaczął kopać. Na początek obrał teren wokół domu, później szedł z drugiej strony — od zastodola. Kopał w każdej wolnej chwili, ale na złoto nijak nie mógł natrafić. „Gdzież ten stary mógł je schować?" — myślał bez przerwy.

Przekopał całe podwórko, raz chciał kopać nawet pośrodku chałupy, ale w ostatniej chwili uświadomił sobie, że ojciec nie mógłby zakopać monet pod polepą, nie zostawiając śladu.

Na tym kopaniu mijały lata. Wasil jednak nie rezygnował. „Przecież gdzieś musi być to złoto!" — utwierdzał się w myślach.

Któregoś lata udał się aż pod Świsłocz, bo dowiedział się, że mieszka tam jasnowidz. Mędrzec, owszem, wysłuchał Wasila, ale uznał, że chłopu z biedy przewróciło się w głowie. — Pomódl się lepiej do Boga i nie myśl więcej o tym złocie — poradził. Ale Wasil wznosił modły i kopał dalej. Zaczął analizować swoje sny. Był pewny, że w śnie można ujrzeć wszystko, a więc i miejsce, gdzie ojciec zakopał skarb. Ale cóż, kiedy śniły mu się przeważnie szczenięce lata, kiedy głodował i bez przerwy marzył o bogactwach.

I tak minęło niemal całe jego życie. Ani się obejrzał, jak wyrosły mu dzieci i pożeniły wnuki. Zestarzał się, kopać już nie miał sił. O wszystkim jeszcze raz dokładnie opowiedział najstarszemu synowi (rodzina wiedziała tylko, że szuka jakiegoś skarbu, nic więcej) i przykazał,



Taki majątek, jak ten, śnił się Wasilowi od dziecka

żeby ten kontynuował jego poszukiwania. — Może drzewo trzeba wykarczować, to już tyle lat, mogło wyrosnąć na tym miejscu...

Wkrótce nadeszły wyjątkowo niespokojne czasy. Wybuchła wojna i cała wieś udała się w „bieżeństwo". Wasil zmarł w dalekiej Rosji. Jego syn, gdy po latach wrócił w rodzinne strony, w swym obejściu zastał same zgliszcza i chwasty. Życie musiał zaczynać na nowo. O skarbie zapomniano.

*

Piotrek i Marek tak jak w każdą niedzielę obejrzeli „Teleranek", a po nim kolejny odcinek „Złamanej strzały" i wyszli bawić się na podwórko. Od tygodnia urządzali zawody w przeskakiwaniu dołu po dawnym sklepie-piwnicy na opuszczonym obejściu, które dzieliło ich domy.

— Za szeroko, nie przeskoczę — Piotrek zrezygnował.

— Zobaczysz, że ja przeskoczę, tylko muszę odbić się od samego brzegu.

Marek wziął daleki rozbieg, rozpędził się i czubkami trampek odbił się od kamienia, wystającego z brzegu jamy. Nie mógł jednak normalnie skoczyć, gdyż kamień obsunął się. Chłopiec wylądował na dnie jamy.

Piotrek w tym czasie szedł już do domu, obejrzał się, ale nie dostrzegł kolegi. „Coś mu się na pewno musiało stać" — zaniepokoił się. Podszedł nad jamę. Marek siedział nieruchomo, wpatrzony w wyrwę, którą zostawił po sobie obsunięty kamień. W głębi błyszczały monety.

Chłopcom mocno zabiło serce i od razu pojawił się strach. Czym prędzej napełnili monetami berety i pobiegli do domów.

Ojciec Marka oglądał telewizję, na przypiecku siedział dziadek.

— Patrzcie, patrzcie, co znalazłem! — krzyczał od samego progu.

— Gdzie znalazłeś? — zapytał podekscytowany ojciec. — Pokaż.

— O, tam, w tej jamie. Tam jeszcze dużo tego leży. Chodź tata, to ci pokażę.

Gdy wyszli, stary wziął beret wnuka i odsypał część monet. Po chwili syn z dzieckiem wrócili z garściami złota. Wysypali na stół, ojciec chwycił garnek z resztkami gorącej jeszcze zupy i pobiegł po następną porcję monet.

Podobna scena rozegrała się w domu Piotrka. Sąsiedzi podzielili skarb między siebie i przyrzekli nikomu nic nie mówić.

Ale jak to we wsi. Nawet ściany mają uszy, a drzewa oczy. Wkrótce wieść rozeszła się po całych Sukowiczach. O znalezieniu skarbu któryś z gorliwszych mieszkańców natychmiast dał znać na posterunek w Szudziałowie.

Milicjanci zjawili się w Sukowiczach nazajutrz z samego rana.

— Wszystko, co zabraliście, musicie oddać — oświadczyli znalazcom. — Zgodnie z prawem, obowiązującym w Polsce Ludowej, ziemia i wszystko, co w niej się znajduje, stanowią własność władzy ludowej. Jeśli oddacie po dobroci, otrzymacie 10 proc. znaleźnego, jeśli nie, nie dostaniecie nic i będzieci ukarani za kradzież mienia państwowego.

— Panie władzo, nasi chłopcy znaleźli trochę monet i tyle. Trzeba, to oddamy...

— Chłopaki, no jak z tym skarbem było? Dużo monet znaleźliście?

— Ja nie wiem, to on znalazł — Piotrek wskazał na Marka i się rozpłakał.

— Jak powiecie prawdę, to damy wam pomarańcze i cukierki czekoladowe.

— Tam znalazłem — Marek wskazał na piwniczną jamę porośniętą chwastami.

Milicjanci przeprowadzili rewizję w obu domach i zarekwirowali dwadzieścia złotych rubli. Chłopców, ich rodziców i mieszkańców wsi przesłuchiwano jeszcze wielokrotnie. W końcu sprawę umorzono.

Dziś Piotrek i Marek mieszkają w Białymstoku i są właścicielami dobrze prosperujących firm.

Joanna Pawluczuk

Ilustracje zaczerpnięto z książki A. Łakotki pt. „Pad strechami praszczurau", („Połymioa", Mińsk 1995)

Opowiadanie zostało napisane na motywach legendy, krążącej na Sokólszczyźnie. W Sukowiczach, gm. Szudziałowo, w latach siedemdziesiątych rzeczywiście znaleziono skarb, którym zainteresowała się milicja. Akta tej sprawy jednak się nie zachowały, a bezpośredni świadkowie już nie żyją. Większość opisanych zdarzeń, także tych z czasów współczesnych, jest wytworem wyobraźni autorki. Przypadkowe są też imiona bohaterów.



Na odpustach i jarmarkach wypytywał o ceny ziemi, budynków i gospodarstw. Głównie interesowały go jednak opuszczone dwory

Kto napisał antybiałoruski donos?

Problem tzw. „prawosławnych Polaków" na Białostocczyźnie nie jest nowy. Określanie się przez współczesnych tym mianem ma jednak bardzo niewiele wspólnego ze Stowarzyszeniem Polaków Prawosławnych, które istniało w latach trzydziestych. Organizacja ta powstała wskutek prowokacyjnej akcji polskiej policji politycznej i obliczona była na wynarodowienie ludności białoruskiej, stanowiącej w wielu gminach pięciu wschodnich powiatów ówczesnego woj. białostockiego (białostockim, bielskim, grodzieńskim, sokólskim i wołkowyskim) większość. Po likwidacji w 1939 r. politycznych i finansowych mocodawców upadła również idea narodowo polskiej organizacji o prawosławnym obliczu religijnym.

Asymilacja Białorusinów na Białostocczyźnie następowała jednak już w okresie międzywojennym i po 1944 r. proces ten trwał nadal. Główne przyczyny tej tendencji leżały jednak poza strukturami organizacyjnymi Cerkwi prawosławnej.

Problem „prawosławnych Polaków" podnoszą ostatnio w swoich badaniach np. socjolodzy, których prace polegają niekiedy na ustalaniu jaki jest procent „tutejszych", „prawosławnych", „ruskich", „Białorusinów w Polsce", „polskich Białorusinów" itd. wśród Białorusinów na Białostocczyźnie, tworzących zdezintegrowaną, ale wciąż jedną społeczność, różniącą się od polskiej większości. Na razie nie uzewnętrznił się żaden ruch społeczny „prawosławnych Polaków". W zasadzie nie istnieje idea uzasadniająca coś takiego jak „prawosławni Polacy", chociaż próby jej stworzenia można doszukiwać się w publikacjach o „obrządku słowiańskim w dawnej Polsce". Świadczy to o tym, że jest to struktura społeczna, która dopiero zaczyna się tworzyć w wyniku procesów asymilacyjnych zachodzących na gruncie ludności białoruskiej na Białostocczyźnie. Przykład ludności prawosławnej we współczesnym Białymstoku kojarzy mi się nieodparcie z sytuacją sprzed kilku stuleci, kiedy to następowała asymilacja w kierunku polskości białoruskiej i ukraińskiej magnaterii i szlachty. Te najbogatsze grupy, polonizując się, zrywały z prawosławną tradycją na rzecz uprzywilejowanego rzymskiego katolicyzmu, stając się Polakami. Bardzo podobny proces zachodzi dzisiaj właśnie w Białymstoku.

W Archiwum Państwowym w Białymstoku zachował się „list otwarty" z datą 4 stycznia 1957 r., podpisany przez „Polaków wyznania prawosławnego południowo wschodniej ziemi Białostockiej". Jest to bardzo zastanawiający termin, gdyż przypada na okres tuż przedświąteczny u prawosławnych. Nasuwa się więc wątpliwość, czy rzeczywiście prawosławni mieli czas na pisanie kilkustronicowego tekstu i narysowanie mapki oraz rozsyłanie ich do: Komitetu Centralnego Polskiej Zjednoczonej Partii Robotniczej, prezesa Rady Ministrów, „wszystkich ministerstw" i „wszystkich Redakcji Gazet". Niestety, nie są znane nazwiska autorów tego listu. Czy więc rzeczywiście pisali go ludzie wyznania prawosławnego?

Lektura tekstu nasuwa zasadniczy wniosek. Autorzy dobrze znali historyczną literaturę polską z całym bagażem zafałszowań, a w tym z nieprawdziwym stereotypem o masowej „przymusowej rusyfikacji polegającej na przymusowym przejściu Polaków katolików na prawosławie". Argumentem dla tego kłamstwa miały być stojące na Białostocczyźnie „w miastach i wsiach obok starych kościołów [...] cerkwie wybudowane właśnie w okresie prześladowań". Podobnym kłamstwem jest stwierdzenie, że: „Polacy natomiast chroniąc się przed zesłaniem (po powstaniu 1830-1831 r. — S.I.), całymi wsiami przechodzili na prawosławie". Fakty historyczne mają się dokładnie odwrotnie. Na przykład już w XVI w. (przed zawarciem unii brzeskiej w 1596 r.) istniały prawosławne parafie w Grodzisku, Hodyszewie, a nawet w Wysokiem Mazowieckiem. Potwierdzają to dokumenty archiwalne. Świątynie w tych miejscowościach służyły Rusinom — przodkom współczesnych Białorusinów. Warto także podkreślić, że niegdysiejsza cerkiew w Grodzisku jest obecnie przerobiona na kościół rzymskokatolicki. A w 1839 r. — czyli kilka lat po powstaniu listopadowym — białoruscy unici na Białostocczyźnie powrócili do prawosławia, fałszem jest jednak mówienie, że byli to Polacy.

Bez komentarza nie można zostawić pytania i odpowiedzi autorów listu: „Czy Polacy sieją strach wśród Białorusinów, tego nawet żaden chłop białoruski nie powie". Autorzy nie chcą znać takiego faktu, że np. w gm. Grodzisk jeszcze na początku 1945 r. ponad 3000 osób (prawie jedna trzecia mieszkańców) było wyznania prawosławnego. Terror polskiego podziemia zbrojnego spowodował ucieczkę większości tych ludzi do Białoruskiej Socjalistycznej Republiki Radzieckiej lub do wschodniej części woj. białostockiego. Przyjęta argumentacja wybielania tych Polaków, których należy obarczyć odpowiedzialnością za zbrodnie popełnione po II wojnie światowej na prawosławnych Białorusinach, wskazuje, że autorów należy jednak szukać w środowisku rzymskokatolickim. Można nawet pokusić się o wskazanie potencjalnych środowisk, z których ten tekst wyszedł. Na przykład podobne antybiałoruskie wypowiedzi i nastrój wrogości wobec Białoruskiego Towarzystwa Społeczno-Kulturalnego panowały w ówczesnym Stronnictwie Demokratycznym w Bielsku Podlaskim. Odnotowano to nawet w protokołach posiedzeń miejskiego koła SD, gdzie BTSK występuje jako Komitet Białoruski — chyba przez analogię z Białoruskim Komitetem działającym w Białymstoku w okresie okupacji niemieckiej.

W podsumowaniu tego swoistego donosu do komunistycznych władz oskarżono BTSK i Białorusinów o „oderwanie terenów na południowy wschód od miasta Białegostoku". Tym kłamstwem posługiwali się nacjonaliści polscy przy każdej okazji, kiedy następowała konsolidacja społeczności białoruskiej na Białostocczyźnie i jej wewnętrzne zorganizowanie się. Według polskich nacjonalistów, zagrożeniem było samo istnienie Białorusinów, a upomnienie się o prawa obywatelskie stanowiło akt wrogości skierowany przeciwko państwu polskiemu — nawet komunistycznemu. Nacjonalizmu nie można rozpatrywać jako czegoś racjonalnego, gdyż u jego podstawy leży nierówność narodów. Na Białostocczyźnie, według polskich nacjonalistów, Polacy mają być panami, co zawiera się między innymi w sformułowaniu „ziemie rdzennie polskie", Białorusini natomiast mogą liczyć na łaskę lub jej brak ze strony panów.

Przy badaniu problemu tzw. „prawosławnych Polaków" brakuje nazwisk — konkretnych osób narodowości polskiej, które aktywnie uczestniczyłyby w życiu publicznym jako Polacy wyznania prawosławnego. Za to w archiwaliach są tysiące nazwisk wychodźców z prawosławnych wsi wschodniej Białostocczyzny, którzy otwarcie pisali, że są naro-

dowości białoruskiej. Spotyka się także prawosławnych Białorusinów urodzonych w Białymstoku i Bielsku Podlaskim. Przy tym, na szczególną uwagę zasługuje fakt odchodzenia w pisemnych deklaracjach od narodowości białoruskiej przez członków Polskiej Partii Robotniczej, którzy w latach pięćdziesiątych, już jako aktywiści Polskiej Zjednoczonej Partii Robotniczej, zajmując różne stanowiska państwowe, podawali w ankietach narodowość polską. Ludzie ci oficjalnie byli jednak ateistami, odżegnując się od prawosławnych korzeni i zrywając z tradycją na rzecz komunistycznej ideologii.

Publikowany niżej tekst, absurdalny w swej warstwie faktograficznej, ukazuje daleki od obiektywizmu i tym samym niski poziom wiedzy historycznej — jak należy sądzić — jednego z lokalnych środowisk polskich na Białostocczyźnie. Usprawiedliwieniem może być tylko to, że władze Polskiej Rzeczypospolitej Ludowej nie zrobiły nic w czasie 45 powojennych lat, by ten stan zmienić. Obecnie taką misję może podjąć Uniwersytet w Białymstoku. Wiedza ma potężną moc twórczą, a niewiedza może przynieść tylko konflikty, których w przeszłości było nie tak mało, a które są całkowicie niepotrzebne Białorusinom i Polakom zamieszkującym Białostocczyznę.

Tekst publikujemy w oryginalnym brzmieniu, odredakcyjne uzupełnienia oznaczono nawiasami kwadratowymi.

Sławomir Iwaniuk

My prawosławni, zamieszkujący powiat bielski, hajnowski, wschodnią część pow. sokólskiego, południowo-wschodnią część pow. siemiatyckiego i wschodnią część pow. białostockiego, zwracamy się do Was z niepokojem, gdyż z chwilą powstania Białoruskiego Komitetu Społeczno-Kulturalnego w krzywdzący sposób robią nas prawosławnych Białorusinami nie pytając się czym my się czujemy.

W szczęśliwym położeniu są na w[yżej] w[ymienionych] terenach Polacy wyznania katolickiego, gdyż symbolem ich polskości są kościoły we wsiach i miasteczkach. Mimo to fałszywą cyfrą głoszoną przez w[yżej] w[ymieniony] Komitet około 200.000 Białorusinów zamieszkujących w[yżej] w[ymienione] tereny, również zostali pochłonięci i ci wszyscy Polacy wyznania katolickiego.

Dziwi nas bardzo, że ludzie niektórzy na wysokich stanowiskach, dlatego tylko, że nie znają historii południowo-wschodnich terenów białostocczyzny operują fałszywymi cyframi, okłamują tym samym władze centralne, a wśród ludności polskiej wprowadzają niepokój i atmosferę napiętą, krzywdząc przede wszystkim nas Polaków wyznania prawosławnego.

Fałszerzami cyfr są przede wszystkim: 1/ Białoruski Komitet Społeczno-Kulturalny na czele z sekretarzem tegoż Komitetu Aleksym Kozłem, 2/ Kierownik Wojew[ódzkiego] Zarządu Spraw Wewnętrznych Ob. Roszko, 3/ Kierownik Wydziału Społeczno-Administrac[yjnego] Białorusin Marczuk oraz referent d/s narodowościowych w tymże Wydziale również Białorusin.

Dlatego też postaramy się przedstawić prawdę historycznie i za pomocą cyfr.

Województwo białostockie liczy obecnie 1.020.000 ludności. W tym powiaty, gdzie występują Polacy i Białorusini liczą następujące ilości ludności w zaokrągleniu do tysiąca w[edłu]g danych statystycznych z 1956 r.

Powiat Sokółka liczy .... 66.000 ludności.
Powiat Białystok liczy .... 79.000 ludności.
Powiat Bielsk Podl[aski] liczy .. 68.000 ludności.
Powiat Siemiatycze liczy .... 69.000 ludności.
Powiat Hajnówka liczy .... 52.000 ludności.
Razem .... 334.000 ludności.

Zgodzicie się z nami, że granicami w[yżej] w[ymienionych] powiatów nie można wyznaczyć granicy między terenami, gdzie mieszkają wyłącznie Polacy, a terenami, gdzie jest mieszanina Polaków i Białorusinów.

Dlatego też załączona mapka wskazuje nam zakreskowany obszar, gdzie mieszkają Polacy wyznania katolickiego i prawosławnego oraz Białorusini. Dlaczego tą linię zakreśliliśmy tak, a nie inaczej, to chyba zgodzicie się z nami, że na terenach byłych gmin (za dużo byłoby wymieniać Rad Gromadzkich, a ludzie po staremu mają lepszy obraz, aczkolwiek dane są brane ze statystyki Rad Gromadzkich) w pow. sokólskim jak Suchowola, Korycin, Janów, Sidra i Zalesie mieszkają wyłącznie Polacy w ilości 34.000.

Zgodzicie się z nami, że na terenie byłych gmin w pow. białostockim jak Dobrzyniewo, Barszczewo, Czarna Wieś Kościelna, Dojlidy i Juchnowiec Kościelny mieszkają wyłącznie Polacy w ilości 43.000.

Zgodzicie się z nami, że na terenie byłych gmin w pow. bielskim jak Wyszki i Brańsk mieszkają wyłącznie Polacy w ilości 31.000.

Zgodzicie się z nami, że na terenie byłych gmin pow. siemiatyckiego jak Grodzisk, Ciechanowiec i Drohiczyn mieszkają wyłącznie Polacy w ilości 41.000.

Tak więc na obszarze zakreskowanym na załączonej mapce mieszka 185.000 ludności polskiej wyznania katolickiego i prawosławnego oraz Białorusini.

Czy ciężko jest wyznaczyć z w[yżej] w[ymienionej] cyfry ilość Polaków? Myślimy, że nie. W[edłu]g półrocznej pracy statystycznej na terenie zakreskowanym na mapce mieszka 70.000 Polaków katolików i 35.000 Polaków prawosławnych.

Możemy dla przykładu podać, że w mieście Sokółka mieszka 6.000 ludności w tym ludności polskiej 3.500 a 3.500 ludności prawosławnej Komitet Białoruski robi Białorusinami, mimo że podczas okupacji w mieście Sokółka podało się za Białorusinów tylko 7 rodzin.

Na podstawie dokumentów znajdujących się w Wojew[ódzkim] Archiwum i w Warszawie wynika, że ziemie białostockie od 1413 r. to jest od unii w Horodle z Litwą należały do Polski aż do 3-go rozbioru 1795 r. a za tym prawie 400 lat i granica administracyjna między Polską a Litwą biegła tak jak nam przedstawia linia koloru niebieskiego na załączonej mapce, która z biegiem lat przesunęła się na tereny augustowskie i suwalszczyznę z chwilą osiedlenia się tam Polaków.

Po ostatnim rozbiorze z chwilą utworzenia w 1815 r. Królestwa Polskiego połączonego unią personalną z Rosją i którego granica biegła tak jak nam przedstawia zielona linia na mapce, na części ziemi białostockiej nie wchodzącej w skład Królestwa Polskiego rozpoczął się terror i przymusowa rusyfikacja polegająca na przymusowym przejściu Polaków katolików na prawosławie. Stąd też na terenach zakreskowanych na mapie w miastach i wsiach obok starych kościołów, widzimy i cerkwie wybudowane w okresie prześladowań.

Czy Polacy w czasie niewoli siedzieli cicho? Oczywiście że nie. Jeszcze parę lat przed wybuchem powstania listopadowego istniały konspiracyjne organizacje wolnościowe. W 1820 roku młody student Uniwersytetu Wileńskiego Michał Rut-

kiewicz ze wsi Zawyki pow. Białystok, założył w Białymstoku filię Filaretów i Filomatów pod nazwą „Towarzystwo Zgodnych Braci". Z chwilą wybuchu powstania Listopadowego 1830 r. na białostocczyźnie zapanował wielki terror. Obwodem białostockim rządził wówczas gubernator Arszeniewski. Do Białegostoku ściągnięto 20.000 żołnierzy rosyjskich na czele z feldmarszałkiem Dybiczem. Czy to wszystko przestraszyło Polaków? Oczywiście nie. Z chwilą pokazania się generała Chłopickiego na Podlasiu, potworzyły się liczne grupy powstańców na terenie powiatu bielskiego i hajnowskiego składające się właśnie z Polaków zamieszkujących licznie w[yżej] w[ymienione] powiaty.

Do wielkiej bitwy powstańców pod dowództwem Zaliwskiego doszło pod wsią Sokolany niedaleko Sokółki, którzy zostali rozbici przez korpus generała Nikitina. Jak strasznie zastraszyły walki Polaków carskich władców w obwodzie białostockim świadczy o tym fakt, że stan wojenny został zniesiony cztery lata po powstaniu t.j. [w] 1835 r., a za schwytanie dowódców powstańców z ziemi białostockiej jak: Hanwalta, Matuszewicza i Żylińskiego, gubernator Arszeniew[ski] wyznaczył ogromne sumy.

W wyniku walk powstańczych na terenach południowej białostocczyzny nastąpiły masowe deportacje na sybir. Polacy natomiast chroniąc się przed zesłaniem, całymi wsiami przechodzili na Prawosławie, których bez ich wiedzy i zgody robi się Białorusinami. Tej roboty podjął się przede wszystkim Sekretarz Komitetu Białoruskiego Kozioł, który będąc przez dłuższy czas Kierownikiem Wydziału Wyznań P[rezydium] W[ojewódzkiej] R[ady] N[arodowej] i mając nieograniczoną władzę w okresie kultu jednostki nie dał jednak rady w południowej białostocczyźnie porozbierać kościoły i rusyfikować wszystkich Polaków aczkolwiek czół się spadkobiercą carskich siepaczy.

W powstaniu styczniowym w 1863 r. białostocczyzna również nie milczała. Ogarnęło ono i tutejsze tereny i niech świadczy o tym fakt, że za udział w powstaniu generał gubernator Murawiew kazał wieś Jaworówka w pow. białostockim spalić a mieszkańców wywieść na sybir.

Popatrzmy co się dzieje dzisiaj na obszarze zakreskowanym na załączonej mapie, gdzie mieszka 185.000 ludności mieszanej w tym 70.000 Polaków katolików, 35.000 Polaków prawosławnych i cyfra bardzo wątpliwa to 80.000 Białorusinów. Ludność ta jest tak pomieszana i spokrewniona z sobą, że w jednej rodzinie występują katolicy i prawosławni, a tym samym Polacy i Białorusini.

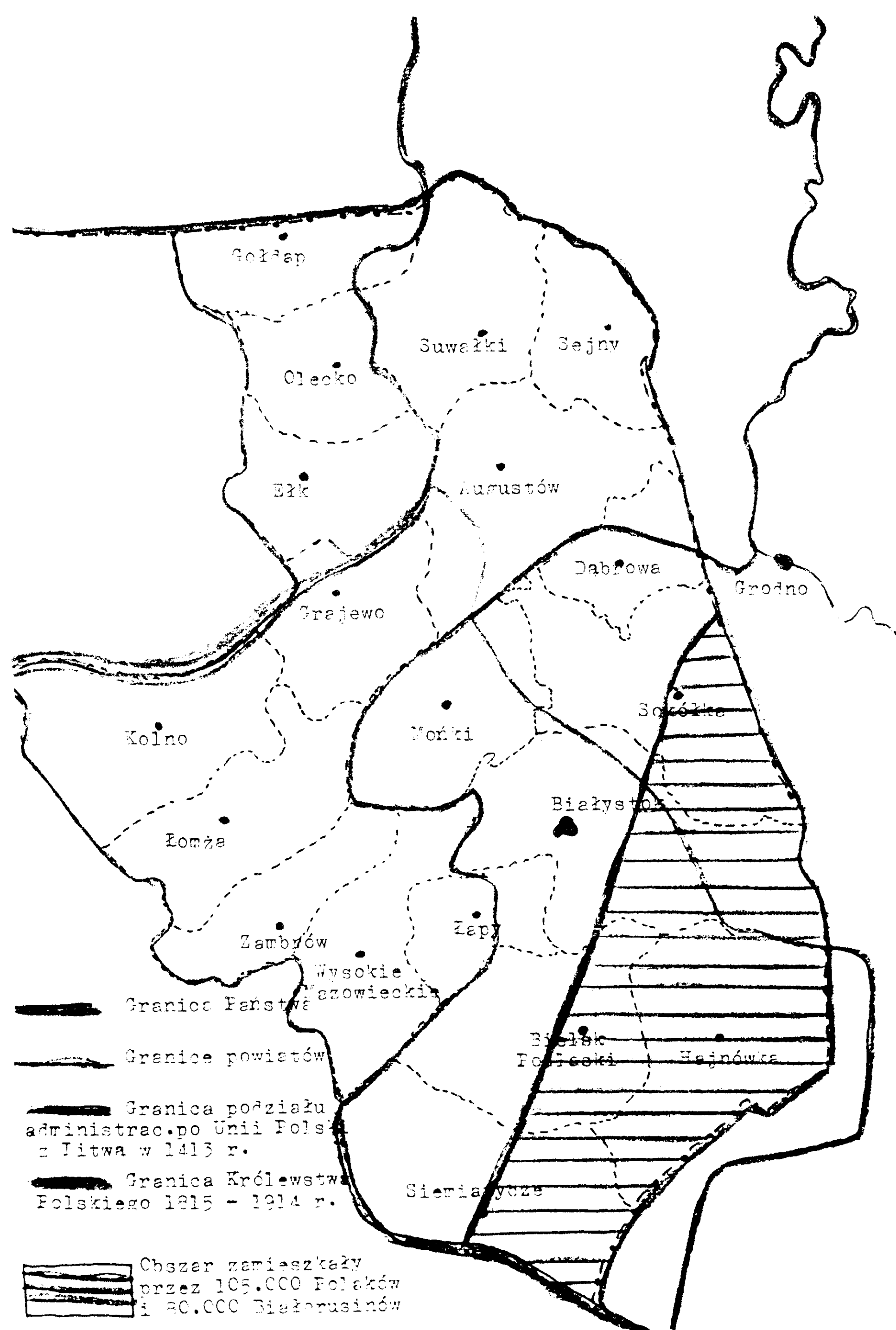
Nic więc dziwnego, że przez 11 lat Polski Ludowej był na tych terenach zupełny spokój. Czyż mógł się kłócić z sobą krewny z krewnym, jeżeli ich dzieli tylko religia, albo narodowość. Na tych terenach już wszedł zwyczaj w życie od 200 lat, że jak są święta katolickie to prawosławni nie pracują, a jak są święta prawosławne to katolicy nie pracują.

Stawiamy pytanie co się stało po 12 latach, że jest inaczej? Kto jest wichrzycielem spokoju i szantażu?

Jest nim Białoruski Komitet Społeczno-Kulturalny na czele z sekretarzem Kozłem, który jest powołany do szerzenia kultury białoruskiej tylko wśród Białorusinów, a nie siania zamętu i robienia z prawosławnych Białorusinów.

Do fałszowania cyfr odnośnie ilości Białorusinów Komitet ma drogę ułatwioną za pomocą Białorusina Marczuka — kierownika Wydziału Społeczno-Administracyjnego Prez[ydium] WRN, który przy pomocy referenta d/s narodowościowych okłamuje władze centralne.

Jedno nas cieszy, że władze centralne przyznały nam słuszność odnośnie fałszowania cyfr przez Komitet Białoruski po przedstawieniu oryginalnych dokumentów. Byliśmy zaskoczeni, że władze centralne również wiedzą o tym, iż na podstawie danych cerkwi w Białymstoku na 103.000 mieszkańców miasta Białegostoku mieszka 6.000 prawosławnych i tych robi Komitet Białoruski — Białorusinami, oczywiście za aprobatą kier[ownika] Woj[ewódzkiego] Zarządu d/s Wewnętrznych ob. Roszko, który zupełnie stracił orientację w cyfrach.



Na szczęście władze centralne wiedzą, że 6.000 prawosławnych w mieście Białymstoku pochodzi stąd, że ich pradziatkowie w okresie silnej rusyfikacji podczas niewoli chcąc się utrzymać na różnych pracach przeszli na prawosławie, co zresztą było tak nawet i w Warszawie, o czym świadczy cerkiew na Pradze, tak samo spotyka się gdzie niegdzie wsie prawosławne nawet [na] kielecczyźnie i [w] łódzkim.

Na szczęście władze centralne wiedzą, że chór białoruski zorganizowany przez Komitet Białoruski w Białymstoku składa się z samych Polaków i ledwie został zorganizowany przez częste ogłoszenia w „Gazecie Białostockiej" i obietnicami wyjazdu za granicę. To jest żywy przykład robienia Polaków — Białorusinami.

Zwracamy się z zapytaniem do tych, do których kierujemy ten list czy w[yżej] w[ymienione] fakty mogą zapewnić pokój, gdzie grupa wichrzycieli sieje zamęt i budzi niepokój wśród dziesiątek tysięcy Polaków.

Czy władze państwowe mogą dopuścić do takich absurdów, że pod hasłem „Czto z nami budiet", który jest osłoną do dopuszczenia się przez Komitet Białoruski do gwałtów w setkach wsiach wyznania prawosławnego i za pomocą szantażu pod adresem Wydz[iału] Oświaty WRN robi się szkoły Białoruskie, a gdzie ludzie nie chcą straszy się je Sowietami.

Komitet Białoruski dzięki posiadanej dużej ilości pieniędzy

gromadzi przy sobie ludzi usuniętych ze stanowisk za dzierżymordstwo i Białorusinów zwolnionych z Urzędu Bezpieczeństwa, których ręce są czerwone od katowania ludzi. Właśnie tacy sieją zamęt w terenie zwalając winę na Polaków.

Czy Polacy sieją strach wśród Białorusinów, tego nawet żaden chłop Białoruski nie powie. Czy jest odwrotnie oto przykłady.

W okresie kultu jednostki we wsi Nowo-Berezowo pow. Hajnówka czterech Białorusinów posiadających za pozwoleniem białoruskich ubowców broń teroryzowało całą wieś. Nic więc dziwnego, że we wsi Nowo-Berezowo postanowiono za wszelką cenę utworzyć wyłącznie szkołę Białoruską. Na skutek jednolitego uporu ludności, mogła ona w tym okresie odnieść zwycięstwo takie, że zamiast języka rosyjskiego, wprowadzono nadobowiązkowy język Białoruski. Natomiast sąsiednia wieś Osówka tylko dlatego, że jest wyznania katolickiego ma zupełny spokój. Również w samym powiatowym mieście Hajnówce, gdzie 10.000 mieszkańców, mieszka 6.000 Polaków wyznania katolickiego szykany i białorusyfikacja nieudaje się.

Nic więc dziwnego, że towarzysze w Ministerstwie Oświaty pytali co się u Was dzieje, że tyle przyjeżdża delegacji z pow. Bielsk i Hajnówka z prośbą o niezakładanie w Polskich wsiach szkół Białoruskich pod przymusem.

Dała Polska Ludowa możność Białorusinom piastować wysokie stanowiska w powiatach zamieszkałych wyłącznie przez Polaków — w postaci I-szych sekretarzy K[omitetów] P[owiatowych], Przewodniczących Prezydiów P[owiatowej] R[ady] N[arodowej], sekretarzem Prez[ydium] WRN — Fiedorowicz był Białorusinem, Kier[ownik] Wydz[iału] Kadr Danieluk — Białorusin, Kier[ownik] Wydz[iału] Społeczno-Adm[inistracyjnego] Białorusin Marczuk, były Kier[ownik] Wydz[iału] Wyznań Kozioł Białorusin. Oto ci wszyscy, którzy przez 6 lat na Gomółkowszczyznę pluli i trzymali przeszło 1 milion Polaków za mordę, tak że podczas VIII-go Plenum, kiedy cała Polska szalała z radości, nam Polakom wolno było tylko po cichu się cieszyć. Ma to również wymowę, że w rodzinnych stronach ob. Kozła w Gródku Polacy musieli milczeć na wiecu po VIII-ym Plenum, a Białorusini krzyczeli precz z Gomółką, o czym już władzom centralnym jest wiadomym.

My Polacy zwracamy się z apelem do Białoruskiego Komitetu Społeczno-Kulturalnego bądźcie wspaniałomyślni i zwróćcie się do władz Białoruskiej Republiki Radzieckiej, aby dali swobodę Polakom w tej Republice taką, jaką Wam dała Polska Ludowa, bo jak wyczytaliśmy z prasy Radzieckiej to na terenie Republiki Białoruskiej mieszka około 1.000.000 Polaków, którzy polskich szkół wogóle nie mają, lecz tylko na Wileńszczyźnie wychodzi gazeta [w] niedużej ilości w polskim języku.

Do władz wojewódzkich i centralnych mamy prośbę, aby powyższe fakty wzięła pod uwagę.

Na zakończenie stwierdzamy, że mieliśmy magnatów, którzy w Targowicy na dalekiej Ukrainie w 1792 r. zawiązali konfederację, sprzedali Polskę doprowadzając do rozbiorów i do której należał również i magnat Ksawery Branicki z Białegostoku.

Mamy również Targowicę i w 1957 r. w Białymstoku w postaci Białoruskiego Komitetu, którzy dzięki Polsce mają swobodną działalność a równocześnie w zdradziecki sposób przygotowują oderwanie terenów na południowy wschód od miasta Białegostoku, ziem rdzennie Polskich zroszonych krwią tyloma powstaniami o niepodległość.

Początki kinematografu Białorusinów,

czyli Przypadki Ryhora Kobca


Ryhor Kobiec

Życie Ryhora Kobca, jednego z założycieli kinematografii białoruskiej, kojarzy się z wieloodcinkowym westernem. Zacznijmy od tego, że w rzeczywistości nazywał się on — Michaił Sandyha. W dzieciństwie i młodości zaś był nieślubnym Michajłą Draczem — od nazwiska swej ukraińskiej matki, ubogiej wyrobnicy, którą po latach dopiero poślubił równie biedny wychodźca z Białorusi, właśnie niejaki Sandyha. Działo się to w 1918 roku w Jelizawietgradzie na Ukrainie, kiedy dwudziestoletni już wówczas kawaler Michajło zdążył był w międzyczasie wcisnąć się na ochotnika na rosyjski front w Galicji i widocznie zdrowo tam oberwać, skoro jeszcze w szesnastym roku zdemobilizowano go do domu. Pewnie z nieblahym orderem na piersi...

Niebawem Rosja stanęła dęba i w chaosie rewolucyjnym nasz bohater z bujnym charakterem przystał, rzecz jasna, do anarchistów z czarnymi sztandarami. Różnie bywało u nich, ale ocalał. Zdążył nawet powojować w szeregach Gwardii Czerwonej, po czym trafił do Konarmii Budionnego, która w dwudziestym — jak wiemy — nie osiągnęła Zamościa, grzęznąc w bałaganiarskim szturmowaniu Lwowa. Sandyha natomiast znalazł się pod samą Warszawą, gdzie w czasie okrzyczanego w Polsce *cudu nad Wisłą* zdołał ujść z życiem i nie trafić do morderczej niewoli *u panów*, mimo odniesionych ran. Szczęście mu dopisywało. Zaczęło kończyć się ono wraz z umacnianiem się stalinizmu w ZSRR i wtedy Michajło przemienił się w Ryhora Kobca.

Na niewiele się to zdało, co prawda, i musiał pokajać się za grzechy młodości; skorzystał z podlatującej akurat amnestii. Na razie tyrał w charakterze palacza kotłów w mińskiej fabryce "Proletariusz", zarazem uczęszczając do wieczorowego technikum. Ba, przyjęto go do partii komunistycznej (bolszewików). Dnia 27 maja 1928 r. w imieniu klasy robotniczej Białorusi witał on na granicy radzieckiej w Nieharełym samego Maksyma Gorkiego, który dał się omamić powrotem do czerwonej Ojczyzny. Przypuszczalnie od tego momentu Ryhor Kobiec zapragnął zaufać nowej rzeczywistości. Takich jak on znalazły się miliony.

Trudno dziś wywnioskować, czy przeczuł zbliżanie się Drakona... Jeśli, to czuł się raczej bezpiecznie, będąc od czasu do czasu w najbliższym otoczeniu towarzyszy Haładzieda i Czarwiakowa, kierowników Republiki Białoruskiej; należał przy nich do czołowych agitatorów sławetnej kolektywizacji, poczynającej się w dwudziestym dziewiątym. Wkrótce pryncypałowie pójdą pod topór, lecz Ryhora Kobca uratowało widocznie to, że tymczasem przebywał na terenie Rosji właściwej, w ciągle rządzonym liberalnie przez Kirowa Leningradzie. Mieściło się tam właśnie — głównie ze względów technicznych — studium filmowe *Sawieckaja Biełaruś*, w którym

był zatrudniony jako konsultant, wnet awansowany na kierownika działu scenariuszy. Trzeba to uznać za szczególny traf? Owszem, ale nie tylko. Przed kilku laty napisał bardzo popularną, jak się okazało, piosenkę dla komsomolców, *Parowóz*. Potem, już po białorusku, dramat w trzech aktach *Huta*, poświęcony życiu klasy robotniczej. Sztuka miała zdumiewające wzięcie w teatrach Kraju Rad; w trzydziestym pierwszym trafiła — bagatela! — na czeską scenę. Został autorem scenariuszy, cenionych w latach trzydziestych, filmów białoruskich *Dwojczy narodżany*, *Szukalniki szczaścia*.

Jego rosnące znaczenie w kulturze białoruskiej w końcu zainteresowało organa NKWD, ale Ryhor Kobiec diablo się pilnował. Na rok przed czarnym 1937 donieśli na niego jacyś trzeciorzędni literaci z Białorusi, Baraszka i Bobryk. Ponieważ Leningrad to nie Mińsk, Kobiec długo nie posiedział w śledztwie i wrócił do ulubionej pracy scenarzysty. Jednakże *czując pismo nosem* i widząc, jak znikają mu z widoku koledzy i znajomi, wolał nie nadużywać cierpliwości losu i wystarał się o delegację literacką na Daleki Wschód, by zebrać materiał do dalszego ciągu *Szukalnikau szczaścia*. Znał psychologię prześladowców i krył się poniekąd jak najbliżej, czyli na obrzeżach bezpośrednio Syberii. Przetrwał zatem cało ów trzydziesty siódmy i prawie w całości następny, trzydziesty ósmy rok, kiedy wielki terror wyczuwalnie zelżał. Jak często bywa w najlepiej nawet obmyślonych ruchach szachowych, dostaje się niespodziewanie szacha albo i mata przez drobną w gruncie rzeczy nieuwagę; w Birobidżanie mianowicie przywitał się on na ulicy z kolesiem, którego miało na oku tajne NKWD. To był oczywisty błąd! Ale za to jedno nie aresztowywano, potrzebny był solidny donos i takowy dostarczył niejaki Minsker, ksywa Kazakiewicza, redaktora naczelnego tamtejszej gazety *Birobidżańska Gwiazda*. Nabazgrał ów typ artykulas *Polityczne oblicze pisarza Kobca*. O resztę zadbali nazajutrz enkawudziści, czyniąc z Ryhora Kobca agenta wywiadu co najmniej trzech państw — Japonii, Anglii, Polski. Śledczy nazwiskiem Aleksiejew, niezguła, spartolił robotę, skoro radziecki sąd na wiosnę 1939 r. wydał wyrok uniewinniający. Po czym Dracz-Sandyha-Kobiec migiem przeniósł się do Chabarowska. Chyba jakoś uskrzydlony sprytem w połączeniu z łutem szczęścia nieco zwolnił hamulce, tym bardziej iż w międzyczasie wybuchła wojna i Niemcy stanęli u wrót Moskwy. Capnięto go znowu, za ostrą krytykę osoby ukochanego towarzysza Stalina, co potwierdził na ocznym widzeniu literat Nagiszkin. Cóż, miało się ten niewyparzony jęzor! Gdyby to tak się zdarzyło w strefie przyfrontowej, zarobiłby kulkę w potylicę; natomiast w odległym o tysiące kilometrów Chabarowsku upiekło mu się, zaaplikowano zaledwie dziesięć lat łagrów. Tyle co nic na tamte czasy.

Zaskakuje dynamizm Ryhora Kobca. Nigdy nie popadał w odrętwienie, stale w czymś działał. Na przykład, w tymże Chabarowsku, dziennikarzył, pisał i wystawiał sztuki teatralne, malował plakaty, kręcił kroniki filmowe; brylował w tłumie miejscowej inteligencji. Można zatem domyślać się, że w niejednym łagrze też zawdzięczano mu, tak kochane przez znudzone naczalstwo, spektakle i koncerty amatorskie, bo jakże inaczej przetrzymałby on katorżniczy trud przy budowie syberyjskich linii kolejowych. Wyrok odbębnił *od dzwonka do dzwonka*, ale mogło być z nim gorzej; obywatele naczelnicy lubili bowiem dołożyć wyzwoleńcowi jeszcze parę tych głupich latek, choćby za przewinienia dyscyplinarne, prawdziwe lub zmyślone.

Na dwa lata przed zgonem Geniusza Wszystkich Czasów widziano Ryhora Kobca na przymusowym osiedleniu w stepach Kirgizji. Załapał się był na stróża południowych plantacji winorośli, a całkiem znośnie się miał jako pomocnik pszczelarza. No i piął się na powrót w górę, zostając kierownikiem sowchozowego klubu, redaktorem gazetki ściennej, terenowym korespondentem gazet kirgiskich. Dorabiał również w sferze działów gospodarczych i... ruchu twórczości amatorskiej, jako że wyznawał się w rachunkowości i... dramaturgii scenicznej.

Za odwilży Chruszczowa wrócił do Mińska, niewątpliwie wywołując popłoch wśród mnogich kapusiów w środowisku tzw. inteligencji twórczej. W zupełności zrehabilitowany w 1960 roku, łącznie z przywróceniem mu pełni praw obywatelskich, w niczym i nikomu nie popuścił, stając się postrachem dla wszelkiej swołoczy.

Zmarł Ryhor Kobiec stosunkowo niedawno, w 1990 roku, w wieku aż dziewięćdziesięciu dwóch lat. Ładny wiek, jak na byłego łagiernika. Na krótko przed śmiercią wydębiwszy u odnośnych władz restaurację taśmy filmu *Szukalniki szczaścia* oraz pokazy tego dzieła w kinach białoruskiej stolicy. Myślę, że tajemnica długowieczności w ogóle tkwi właśnie w niezmordowanie aktywnym życiu, w każdych okolicznościach. Wszak nic tak nie zabija człowieka, jak rezygnacja i rozpacz.

Sokrat Janowicz

Fot. z: „Biełaruskija piśmienniki. Biblijahraficzny słounik", Mińsk, „Biełaruskaja Encykłapiedyja" 1994

Jerzy Sulżyk

Nagła zapowiedziana śmierć

Budził się powoli. Odrętwiały z zimna nie mógł nawet otworzyć oczu. Noc, zimna i mglista, już się kończyła i wszystko na chwilę zamarło w bezruchu, zatrzymało się w oczekiwaniu na wschód słońca. Tu, nad rzeką, chłód był nad wyraz przenikliwy. Opadająca mgła oczyszczała otoczenie, dezynfekowała je po wczorajszym upale, który pozostawił niemało smrodu w tym miejscu, wyglądającym jak szczątek lasu. Tu, gdzie leżał, znajdowała się akurat nieduża polana. Rosła na niej tylko trawa; do najbliższej sosny było chyba z pięć metrów. Do stromego brzegu rzeki — pięć kroków.

— Mówią, że jak pijany zaśnie nad rzeką, gdy obudzi się, idzie w stronę wody. Woda go przyciąga — te zdania padły w środku opowieści. Uznałem, że nie będę pytał, dlaczego. Dlaczego woda chce, by się w niej zanurzyć. Kiedy tylko usłyszałem „mówią", bez wahania poszedłem tym tropem, w przekonaniu, że zaprowadzi mnie do prawdy, czyli po prostu pozwoli mieć wątpliwości. I nie omyliłem się.

Ile czasu zajmuje na pół przytomnemu z zimna i przepicia człowiekowi wstawanie z rana na brzegu rzeki? Bóg to raczy wiedzieć. Pięć minut, dziesięć, może pół godziny. Lepiej byłoby, jak by w ogóle nie próbował wstawać.

To wstawanie razem ze słońcem wyglądało na nieprawdopodobny zbieg okoliczności. Mówią, że tak powinien zaczynać się dzień, ale mówią też, że wtedy najczęściej ludzie umierają. Nad ranem.

Oparł się rękami o mokrą trawę i wstał. Zrobił kilka kroków i zatrzymał się. Wydawało mu się, że z boku, niemal że na wyciągnięcie ręki, majaczy we mgle ciemny pień drzewa. Nie poszedł jednak do niewyraźnego kształtu, ale prosto przed

siebie. Zrobił jeszcze trzy kroki. Jeśli za ten trzeci można uznać krok w pustkę, za linię stromego brzegu.

*

Wczoraj była niedziela. Słoneczny dzień późnego lata. W sam raz na taką imprezę, na coś między piknikiem, a festynem. Na ledwie zadaszonej estradzie, wśród drzew, tuż nad rzeką, ludowe zespoły strały się rozruszać mało spontanicznym, retuszowanym folklorem podstarzałą już nieco publiczność. Niektórzy — co bardziej podpici — wykrzykiwali coś ochoczo, ale nie znajdowało to uznania wśród ludzi nawykłych raczej do spokojnego i cierpliwego słuchania wszystkiego, co im się poda ze sceny, niż do szalonej zabawy. Tak miło było siedzieć na ławeczce pod sosnami i rozkoszować się „występami", przenosić się dzięki nim w odległe lata własnej młodości (bądź dzieciństwa), kiedy na wsi wieczorem rozbrzmiewały piosenki podobne tym ze sceny. Białoruskie, ukraińskie albo rosyjskie. Tylko „stroje ludowe", choć ładne i estetyczne, mogły psuć wrażenie, bo nic zupełnie nie miały wspólnego z tym, co ludzie pamiętali o swoich dawnych ubraniach.

Młodzież rozlazła się po terenie, jakby wcale nie była zainteresowana całym tym przedstawieniem. Bo w istocie piosenki o uczuciach i namiętnościach targających młodymi ludźmi wcale nie zostały zaadresowane do właściwych odbiorców, ale do, powiedzmy, „młodych inaczej", czyli do zażywnych już osobników siedzących na ławeczkach. I dlatego więcej można było zobaczyć łez wzruszenia, niż ognistych błysków w oczach słuchających. Tak więc młodzi obijali się od drzewa do drzewa, pili piwo, jedli lody. Co poniektórzy siadali na trawie bliżej rzeki i wypijali w towarzystwie flaszkę wódki. Wesoło zrobiło się chłopcom i ochoczo do bójki, wesoło dziewczynom i ochoczo do chłopców.

Na niewielkiej polanie wśród sosen usadowiło się czterech młodzieńców. Przyjechali z sąsiedniej wsi, żeby się zabawić. Głodni towarzystwa, nie mogli przepuścić takiej okazji. Codzienne życie nie rozpieszczało ich, żeby nie powiedzieć, że uwzięło się i chciało ukarać. Raz na jakiś czas przydawał się więc na zasiedziałą i zapleśniałą już nieco młodość taki festyn-piknik.

Patrzę na nich, siedzących niedaleko rzeki, jak nalewają do jednego wspólnego plastikowego kubka-jednorazówki wódkę, a do innego gazowany napój o smaku „jabłuszko". Piją. Co z tego picia wyniknie? Nikt nie zadaje sobie takiego pytania. Oto odpowiedź, dlaczego potem, gdy dowiedzą się już o „tym", pierwszą ich reakcją będzie zdziwienie. Nieprawdopodobne wręcz zdziwienie, o którym niekiedy mówi się, że jest w jednej chwili na raz i kulminacją, i początkiem bezsilności.

*

Kiedy wieczorami przychodzili do stojącej pośrodku wsi świetlicy, często, siedząc przy starym, zdezelowanym już stole z pilśniowym blatem, mówili do siebie: — To co, trzeba chyba o czymś pomyśleć? Było to jednoznaczne pytanie, ktore oznaczało, że należy zrobić składkę na flaszkę. Pytający patrzył na siedzących obok. W jego spojrzeniu zamiast oczekiwania na odpowiedź odczytać można było szelmowską pewność, że sprawy potoczą się dalej znanym torem. Każdy znajdzie w obcisłych kieszeniach spodni jakieś resztki „przypadkowych" pieniędzy i po paru minutach takich poszukiwań uzbiera się wcale niemała sumka. Jeszcze niektórzy tylko — z reguły są to zawsze te same osoby — powiedzą: „Załóż za mnie" i pierwsza część aktu dobiega końca. Pieniędzy starcza na wódkę, zapojkę i coś do przegryzienia. Czy każdy wieczór tak wyglądał? Niekoniecznie. Czasem tylko siedzieli i rozmawiali, niekiedy grali w karty. Ale... Czegóż spodziewać się można po starokawalerskim, męskim towarzystwie, dla którego od dziesięciu lat czas płynie właściwie podobnie. Starzy już rodzice, dwa programy telewizji i wideo (u niektórych satelita), praca — tam też są razem — i co jakiś czas wypad na imprezę. I tylko, nieregularnie, ktoś odchodzi. Żeni się, wyjeżdża albo umiera.

— Gdy umiera starsza osoba albo ktoś, kto długi czas chorował, jakoś łatwiej wtedy pogodzić się z taką śmiercią — słuchałem tych słów i przypomniało mi się wielu ludzi, których znałem, a którzy dziś już nie żyją. Ale nijak nie mogłem wytłumaczyć sobie, że „tamto" naprawdę się wydarzyło. Moja



świadomość uparła się i nie dopuszczała do siebie ani jednego obrazka, ani słowa... Nie mogłem w ogóle wypowiedzieć jego imienia z czasownikiem umarł. One do siebie po prostu wcale nie pasowały. I dopiero, gdy zaprowadzono mnie pod jego mogiłę, dopiero wtedy, nie wcześniej, przyjąłem — o dziwo niezwykle lekko, jak coś oczywistego — do wiadomości to, co się stało. Ale nie dlatego, że przeczytałem na czarnej tabliczce imię i nazwisko, nie dlatego, że miejsce pokazano mi palcem, ale z powodu długości mogiły, dużo większej niż całej reszty grobów, znajdujących się opodal.

— Taki wysoki, zdrowy chłopak. Na wsi nikt nie mógł sobie tego darować. No jakżeż on mógł tak po prostu umrzeć — znowu usłyszałem zdziwienie w głosie. A zaraz potem: — Nie umiał pływać.

Jego ulubionym zajęciem było łowienie ryb. Wyjeżdżał nad rzekę (tę samą) na cały dzień. Czasem jechał ze znajomym w sobotę na wieczór i spędzał noc nad wodą. Stawiał wędkę, niekiedy rozpalał ognisko. Nie spał, chyba że przypadkiem zdrzemnął się na godzinkę w samochodzie. Ranki były przeważnie chłodne, ale też o wczesnej porze właśnie zdarzały się najlepsze brania. Godzinami patrzył na wodę, jak kołysała lekko spławikiem. Widział wszystkie jej kolory, w różnych porach roku, o różnych godzinach, a za jednym razem i kolory nieba. Bez zadzierania głowy do góry — niebo i rzeka.

Pogrzeb na wsi. Przed domem przybranym w żałobne, cerkiewne chorągwie zbierają się ludzie. Wszyscy są smutni, niektóre kobiety płaczą, inne, od ciągłego tarcia chusteczką, mają suche, acz zaczerwienione oczy. Trzeba czekać na batiuszkę, po którego przed kilkunastoma minutami wysłano samochód. Kiedy w końcu przyjeżdża, oczekujących ogarnia strach przed powiedzeniem sobie, że to już. I tak naprawdę dopiero wyraźnie wyczuwalny zapach kadzideł, który przywiózł ze sobą duchowny, pozwala, by powiedzieć: stało się. Najbardziej wzruszającym momentem jest podnoszenie trumny z ciałem i przekraczanie progu domu. Dom żegna swego mieszkańca. Rozlega się żałosna pieśń „Wiecznaja pamiat'", która porusza nawet najbardziej skamieniałe twarze. Widać jak się wydłużają, kąciki ust opadają...

Trumna niesiona przez wieś jest odkryta. Czterech mężczyzn oparło ją na swoich ramionach. Kondukt zatrzymuje się dopiero przy końcu wsi, przy krzyżu. Tu przestrzeń zamyka się. W zdarzeniach nieodwracalnych — a takim jest śmierć (koniec ziemskiego życia) — przestrzeń nabiera metafizycznego wymiaru. Nieobecność w niej zmarłego człowieka zostawia niewypełnione niczym miejsce. Droga, po której przeszedł on kiedyś, jest jak pusty tunel o przezroczystych ścianach. Mija sporo czasu, zanim żywi przyzwyczajają się do stałej obecności tej dziwnej budowli. Aż w końcu przestają ją w ogóle zauważać.

*

Czterech chłopaków kilka godzin już siedziało w tym samym miejscu nad rzeką. Któryś, najwyraźniej już nieźle pijany, proponował reszcie kąpiel. Wstał i chwiejąc się na nogach podszedł do brzegu. Pochylił się, ale urwisko nad rzeką było za wysokie i nie mógł sięgnąć ręką do wody, żeby sprawdzić, czy jest wystarczająco ciepła. Nagle kawałek skarpy osunął się i amator kąpieli o mało co nie wpadł do rzeki. Odszedł więc szybko do tyłu, czym wzbudził śmiech reszty towarzystwa. Ten śmiech urwał się w jednej chwili, gdy siedzący zobaczyli twarz kolegi. Czymś śmiertelnie przerażoną.

Jerzy Sulżyk

Fot. Archiwum

P.S. Tekst ten powstał na kanwie prawdziwych wydarzeń. Dodano tu jednak wiele elementów fikcyjnych, choć prawdopodobnych. Całość nie powinna być uważana za zapis odtwarzający wydarzenia, które rzeczywiście miały miejsce.

Wyznawcy „proroka"

W wypełnionej po brzegi karczmie ponad szum podochoconych głosów wybija się głos spikiera radiowego, informującego o wybuchu wojny. W tej samej karczmie (być może w Krynkach lub Sokółce) jej właściciel — komunizujący Żyd — deliberuje z miejscowym białoruskim włościaninem o polityce. Nie byłoby w tym nic dziwnego gdyby obaj, nie wiedzieć czemu, nie mówili ... po rosyjsku. Żeby było śmieszniej, w głębi lokalu całkiem wyraźnie można dojrzeć reklamę piwa „Dojlidy". Jak powszechnie wiadomo, radio oraz wyglądający całkiem współcześnie plakat reklamowy białostockiego browaru były standardowym wyposażeniem każdej karczmy w tej części Polski.

Film Krzysztofa Wojciechowskiego „Historia o proroku Eliaszu z Wierszalina", pokazywany na tegorocznym XXII Festiwalu Polskich Filmów Fabularnych w Gdyni, a potem w białostockim kinie „Ton", jest jeszcze jedną interpretacją dziejów sekty Eliasza Klimowicza. Dla niewtajemniczonych — powstałej przed wybuchem II wojny światowej w okolicach miasteczka Krynki w województwie białostockim. Jeszcze jedną dlatego, że ruch eliaszowców, praktycznie zupełnie niezbadany w aspektach statystycznym czy społecznym, stał się natchnieniem całej plejady twórców najróżniejszego autoramentu i pochodzenia.

Całą powieść stworzył na jego kanwie pochodzący z tych okolic, ostro komunizujący pisarz Aleksy Karpiuk (znany wcześniej jako radziecki partyzant grasujący w tamtejszych lasach). A że zawsze bliższa koszula ciału, z adoratorów swego ziomka zrobił on buntowników przeciwko znienawidzonej władzy polskich burżui.

Własną, autorską rzec by można, interpretację wspomnianej książki Aleksego Karpiuka, napisanego po białorusku „Raju w Wierszalinie" stworzył jej współczesny nam tłumacz Sokrat Janowicz. Wyrzucając z niej elementy walki klasowej, uwspółcześniając język, często-gęsto ingerując w samą treść, stworzył z niej mędrzec z Krynek całkiem przystępną dla współczesnego czytelnika powieść kresową. Ściślej — kresowo-białoruską.

W tzw. obieg naukowy wprowadził eliaszowców początkujący socjolog z Ryboł, a przez długie lata profesor Uniwersytetu Jagiellońskiego, Włodzimierz Pawluczuk. Nasłuchawszy się wspomnień współczesnych „prorokowi" z Grzybowszczyzny, na ich podstawie stworzył teorię socjologiczną, według której rzekomo masowy udział w sekcie ludności białoruskiej z „polskich kresów wschodnich" był spowodowany jej zagubieniem w nowej rzeczywistości odrodzonego państwa polskiego. Według Pawluczuka, oddanie się Białorusinów bez reszty wpływom sekty wynikało z kryzysu wszelkich wartości i świętości, którymi żyła ta społeczność dotychczas. Nie bardzo wiadomo dlaczego, ta teoria profesora z Ryboł stała się obowiązującą wykładnią stanu społecznego białoruskiej mniejszości narodowej w drugiej połowie lat 30.

W czasach zupełnie nam współczesnych bodaj największą karierę (a zapewne i pieniądze) na ludziach z Wierszalina — stolicy świata, która nigdy zresztą nie powstała — zrobił reżyser teatralny Tadeusz Słobodzianek. Jako że w żadnym stopniu emocjonalnie nie związany z białorusko-prawosławnym etnosem na Białostocczyźnie, bez żadnych skrupułów wyeksploatował temat do cna. Wyreżyserowany przez niego „Prorok Ilia" zbulwersował nie tylko duchowieństwo i inteligencję prawosławną, ale również przeciętnych wyznawców tego Kościoła, którym nie mieściło się w głowie, że pogarda do rzeczy świętych może posunąć się tak daleko. Tym bardziej, że wulgaryzmy, naturalizmy i chamstwo, na których zbudowano całą sztukę, wcale nie cieszyły się w czasach Eliasza takim wzięciem jak teraz. Odpowiedź na pytanie — co spowodowało, że w tym przedstawieniu życie codzienne prawosławnych Białorusinów zostało sprowadzone do poziomu dawno nie czyszczonej obory, a ich świat uczuć wyższych do perwersyjnej seksualności i ordynarnego chamstwa, pozostanie zapewne do końca słodką tajemnicą twórcy „Proroka Ilii". Chociaż, jak się wydaje, prawdopodobne odpowiedzi mogą być co najmniej dwie: albo Słobodzianek nie znał realiów życia codziennego swoich bohaterów (no bo i skąd biedak miałby cokolwiek o tym wiedzieć?), bądź, co gorsza, widząc wielkimi oczami człowieka teatru jeszcze większe profity i zaszczyty (które, bądź co bądź, w końcu na niego spłynęły) upodobnił Białorusinów do zwierząt z bezczelną premedytacją. A tego, nawet tak wielkiemu artyście, darować nie sposób.

Mając choćby na uwadze te, nie wszystkie przecież, przykła-

dy twórczego przedstawiania sekty eliaszowców. Krzysztof Wojciechowski z całą pewnością nie był na tym polu prekursorem. Naturalnie w takiej sytuacji rodzi się pytanie: co z tego wynikło dla walorów artystycznych i poznawczych filmu. Jeśli miałbym być szczery, musiałbym odpowiedzieć, że nic dobrego.

Film Wojciechowskiego nie jest żadnym wydarzeniem artystycznym. Nieciekawa, a co gorsza nieumiejętnie pokazana fabuła, opowiadająca historię bezdzietnego, nieszczęśliwego małżeństwa, wplątanego w życie sekty, nie wciąga widza na tyle, by mógł przeoczyć czy darować marny poziom artystyczny poszczególnych sekwencji. Wojciechowski, jak typowy „człowiek nie stąd" wyszedł z założenia, że egzotyka jaką się zajął nie wymaga żadnego twórczego przedstawienia, odrobiny wkładu myśli twórczej. Ograniczył się zatem do pokazania kilku egzotycznych dla polskiego widza scen (procesje ludzi śpiewających ruskie pieśni, sceny zbiorowe pod budynkiem przypominającym cerkiew prawosławną), zresztą banalnie zrealizowanych, sądząc, że obronią się same. Tak się jednak nie stało.

Niemały wpływ na mizerny efekt końcowy miało nieprzywiązywanie przez twórców filmu wagi do realiów historycznych, w których toczyły się wydarzenia z życia sekty. W kręconych nad Pilicą zdjęciach trudno odnaleźć klimat rusko-bizantyjskiej mistyki, tak pożądanego przez widzów kolorytu wielonarodowych i wieloreligijnych miasteczek. Dochodzi do tego kompletna ignorancja jeśli chodzi o znajomość realiów kulturowych i językowych epoki. Nie wiedzieć czemu białoruscy wieśniacy, podobnie jak sam Klimowicz, w filmie mówią... po rosyjsku. Ignorancja twórców filmu nie kończy się tylko na tym. Pech chciał (trudno bowiem podejrzewać o aż taką przebiegłość Ukraińców z Podlasia), że reżyser powierzył opracowanie pieśni i obrzędów zebranych na Białostocczyźnie muzykowi z dalekiej Ukrainy. Taki zabieg spowodował, że cała obrzędowość i folklor białoruski spod Gródka czy Krynek przerobiono na ukraińską nutę. Gdy idzie o aktorów to, jak się wydaje, nie sprawiło im to żadnej różnicy. Ich bardzo dyskusyjne umiejętności lingwistyczne w dużym stopniu likwidowały te tylko subtelne przecież dla ludzi Zachodu różnice językowe.

Po projekcji w kinie „Ton" Krzysztof Wojciechowski oświadczył, że film, który kosztował 8 miliardów starych złotych, zrobił przede wszystkim dla ludzi do dziś wierzących w powrót „proroka" z Grzybowszczyzny. Na pytanie z sali, ilu jego zdaniem jest obecnie wyznawców Eliasza na Białostocczyźnie odparł, że podświadomie wierzy w niego większość, jeżeli nie wszyscy, prawosławni na wschodzie Polski (chociaż nikt się do tego nie przyznaje publicznie!).

Mimo wszystko w dziele Krzysztofa Wojciechowskiego jest fragment, którego nowatorskość i wysokie walory edukacyjne mogą zaskoczyć najwytrawniejszego znawcę i wielbiciela dziesiątej muzy. Jest w nim bowiem scena, w której sowieccy żołnierze zaprzęgają Klimowicza w chomąto. W pierwszej chwili nie mogłem zrozumieć, dlaczego odtwórca głównej roli, Henryk Talar, musiał dźwigać na swoim karku końskie chomąto, **założone odwrotną stroną**. Dopiero po jakimś czasie zrozumiałem, że widocznie nad Pilicą nosi się je właśnie w ten sposób. I to było dla mnie najbardziej odkrywcze w całym filmie.

Jerzy Kalina

„Historia o proroku Eliaszu", reż. K. Wojciechowski, 57 min., 1997 r.

Teresa Zaniewska

Motyw drogi i wędrowca w poezji Białowieżan

Cd. z poprzedniego numeru

Czykwinowskiego bohatera pcha naprzód ciepło południowego słońca tulące się do pleców wędrowca. Ma ono znaczenie głęboko metaforyczne, a wędrówka poprzez wprowadzenie przez poetę motywu solarnego, słońca — wielkiego wędrowca zyskuje na sile oraz intensyfikacji. Słońce symbolizuje źródło energii i mocy witalnej, radość życia, szczęście i powodzenie w życiowej wędrówce, ale występuje tu również w znaczeniu ojca, ojcowskiego wpływu na wyznawanie prawdy, zasady i prawidła życia, wychowanie oraz kształt świadomości[21]. Siła, ufność i spokój wędrowca podążającego w przyszłość płynie tu ze świadomości swych korzeni i przekonania o możliwości, chociażby wyobrażonego, powrotu do przeszłości i ziemi rodzinnej, co trafnie wyraził Cyprian Kamil Norwid w poemacie społeczno-filozoficznym „Niewola":

I żal mi bardzo was — o! postępowi,
Którzy zniweczyć chcecie przeszłość całą,
(...)
Tylko, że aby drogę mierzyć przyszłą,
Trzeba-ć koniecznie pomnieć, skąd się wyszło!

Tę samą myśl wyraża w jednym z wierszy Aleś Barski:

Глядзі назад,
Бо там, быць можа, тваё заўтра.
Зямля куля круглая —
І зноўку дойдзем
Да тых мясцін,
Якія ты даўно пакінуў.[22]



„Gdzie Rzym, gdzie Krym, gdzie moja ojczyzna?" Od lewej: Teresa Zaniewska, Aleś Razanau, Nadzieja Artymowicz, Ciechanowiec 1994

Fot. J. Czykwin

Białowieżanie pamiętają, skąd wyszli. Ich droga poetycka prowadzi do źródeł, staje się nieustannym procesem odradzania się, zwycięstwem nad czasem danym człowiekowi, magicznym rytuałem oczyszczenia tak ważnym dla przyszłości i dalszej drogi życia, bowiem jak zauważa Anatol Wiarciński:

Мы жывем, каб вяртацца
час ад часу туды,
дзе мінула юнацтва,
дзе дзяцінства сляды.

Im bardziej przeszłość się oddala, tym silniejsza staje się pamięć o niej i wzmaga się chęć powrotu.

Мой Тапаліны свет
Наднярвянскі далёкі,
Ты ўсё бліжэй, бліжэй,
А я ўсё адлеглей.[23]

Minione zdarzenia, zapisane w pamięci, nie powracają w sposób prosty, każdy powrót ma swoją cenę. Bohaterowie wierszy Białowieżan wracają do ziemi rodzinnej i miejsc znajomych, ale nie zastają już tego, co opuścili. Wszystko niby takie same, lecz jest to tylko złudzenie. To tragiczny punkt dojścia, kiedy się już nie wie co dalej, gdy ziemia ojców ich nie poznaje. Ten motyw, powrotu przetworzony twórczo przez wyobraźnię poetycką, odnaleźć możemy w liryce Alesia Barskiego, Jana Czykwina i Wiktora Szweda:

(...)
Ёсць на свеце зямля адна,
Да якой безупынна ідзём.
У майскіх і снежаньскіх снах
Цвіце вераснёвым агнём.
(...)
Чым далей мы жывём ад яе
Тым любоў і туга гарачэй.
Да вяртання нам крылы дае,
Не знікае ніколі з вачэй.

З яе рук мы свой лёс узялі,
Першы крок на дарогах надзей,
Да дрымучых лясоў і далін
Нас бацькоўская сцежка вядзе. (...)[24]
(Aleś Barski)

Вязе мой слаўны, вязе вясковы,
Ці шчаслівы ты ў шапцы вясновай?

Брыдзеш ты па свеце кульгавым карэннем,
Як факт аўтэнтычны, канкрэтнае здарэнне.

І рукі скрыпяць у суставах старэчых,
І мову птушак стаў ты калечыць.

Зусім адзінокі, як нейкі філосаф,
Ты днём раўнадушны, а ноччу галосіш.

Бо як жа, бо як жа ўстрываць, мой дружа,
Калі шчэ жывы — калі ўжо нядужы.

Нядужы паветра збіраць у карэнні,
Свядомы, што рухнеш, ўпадзеш на каленні.

Свядомы, што хутка, што заўтра, што зараз
Жыццё праміне, непаўторнае і велізарнае.

Мой вязе з дзяцінства, з бацькоўскага краю,
Прыеду ў вёску, цябе не пазнаю.

І ты мяне не пазнаеш таксама.
Убачыш — палічыш няпраўдай ці зманам.[25]

(Jan Czykwin)

Вось я ізноў у вёсцы Мора —
І цешыцца надзвычай сэрца!
І старой студні стары жораў
Поіць бляшанае вядзерца. (...)



Jan Czykwin i Franciszek Kobryńczuk, tłumacz poezji białoruskiej, Ciechanowiec 1995 r.

Fot. T. Zaniewska

Здаецца, ўсё тут не іначай,
Як і раней было — такое ж.
Слядоў сваіх, аднак, не бачу, —
Пазарасталі ўжо травою.[26]

(Wiktor Szwed)

Powrót w przeszłość okazuje się nieosiągalny, nie ma autentycznego powrotu do domu, do miejsca, z którego się wyszło, do siebie, którym się było. Podmiot liryczny przywołanych wierszy powraca nie tyle do utraconego miejsca, ile do siebie dawnego w tym miejscu.

Няўжо ў дзяцінства не вярнуся,
няўжо не буду роўны з жытам,
няўжо не буду больш спавіты
матчынай казкай —
няўжо малым я больш не буду?[27]

Tęskni za swoim dzieciństwem i młodością, a nie za miejscem, w którym one upłynęły. Jego pragnienie dotyczy nie przedmiotu, który chciałby odzyskać, lecz czasu niemożliwe-

go do odzyskania. „Nostalgik — pisze J. Starobinski — nawet kiedy powróci do ojczyzny, jest równie nieszczęśliwy jak przedtem: rzeczy, które odnajduje i ludzie, których ponownie spotyka, nie przypominają tych, które i których kiedyś zostawił. Zanim Rimbaud nie powie „Nigdzie się nie wyjeżdża", Kant da nam przestrogę: „Nie ma powrotu"[28]. W podobnym duchu wypowiada się również Tadeusz Konwicki: „Literatura jest (...) aktem pożegnania, to żegnanie odchodzącego czasu. I ja, w moich książkach, żegnam się z czasem mojego dzieciństwa. To mnie ukształtowało, ale to jest przeszłość, do której nie ma już powrotu"[29]. Powracający w przeszłość przypomina bohatera mitycznego, który podejmuje wyprawę w głąb labiryntu, posługując się jedynie niepewną nicią pamięci. Każdy powrót w przeszłość jest ponawianą próbą mityzacji, opowieścią o daremności podejmowanych wysiłków przeniknięcia obrazów pamięci, co symbolizują losy postaci mitycznych, więźniów świata podziemnego — Tantala, Syzyfa, Danaid[30]. Odczucia powracającego do domu bohatera liryki Białowieżan doskonale oddaje jeden z wierszy Tadeusza Różewicza:

(...)
nikt mnie nie wita
i nikt nie poznaje
świat ten
dokoła
jest pełen beze mnie
(...)
myślałem że moje miejsce
tu na mnie czekało
teraz widzę
nie miałem miejsca
myślałem puste miejsce
po mnie tu zostało
ale życie
jak woda
już je wypełniło
jestem jak kamień
ciśnięty w głębinę
jestem na dnie
tak jestem
jakby mnie nie było[31]

Podobnie wygląda los bohatera lirycznego w twórczości poetów „Białowieży", gdzie zniszczony jest dom, i ten, kto dom opuścił. Jest on człowiekiem samotnym, rozpaczliwie wobcowanym, wędrującym daremnie, skazanym na niepokój i udrękę, nie mogącym znaleźć swego miejsca na ziemi. Jego wędrówka jest ruchem pozornym, napawającym lękiem, jest jednak nieunikniona:

(...)
дарог да бацькаўшчыны
не выпрастуем
не пераскочым (...)[32]

Często powrót do ziemi rodzinnej jest drogą ostatnią, „ostatnim portem w podróży". W ten oto sposób zostaje zobrazowany ruch w czasie „biegnący po okręgu i zamykający się w granicach życia ludzkiego"[33]. Na starość i ostatnią godzinę podmiot liryczny pragnie powrócić tam, skąd wyszedł:

Добры дзень, сястра мая, бяроза,
Прывітанне вам, браты дубы,
Я вяртаюся з далёкае дарогі
І хачу прылегчы недзе тут пры вас. (...)[34]

(Jan Czykwin)

(...)
А калі ўжо стомяцца ногі
Пасля многіх жыццёвых трывог,
Хай апошняя сцежка-дарога
Прывядзе на бацькоўскі парог.[35]

(Wiktor Szwed)

(...)
Ёсць на свеце такая зямля,
Дзе пачатак мой ёсць і канец. (...)[36]

(Aleś Barski)

Przestrzeń między „początkiem i końcem" wypełnia drogę życia, która wiedzie od korzeni do kresu ludzkiego czasu, do końca ziemskiego pobytu. Jest to motyw drogi w rozumieniu sakralnym, wiodącej do Nieba, do zbawienia, zgodnie z wolą Bożą. Pojawiająca się w poezji Białowieżan metafora życie — wędrówka sięga swymi korzeniami wielowiekowej tradycji stoickiej, następnie zaś chrześcijańskiej, gdzie droga oznacza życie ludzkie oparte na przykazaniach Boga. Szczytem tej biblijnej symboliki są słowa Jezusa o sobie samym: „Ja jestem drogą i prawdą i życiem" (J 14, 6). Jezus nie potrzebuje, by Mu wskazywano jakąkolwiek drogę do Ojca, On sam jest drogą! Ale On jest nie tylko drogą, lecz także celem, to znaczy samym życiem. Kto kroczy drogą Chrystusa, dostanie się do królestwa niebieskiego[37].

Teresa Zaniewska

[21] zob. W. Kopaliński, *Słownik symboli*, WP, Warszawa 1990, s. 389.
[22] A. Barski, *Dwaccać traciaje*, (w:) Tegoż: *Blizkasć dalokaha*, HP BHKT, Biełastok 1983, s. 31-32.
[23] A. Barski, *Wosiemdziesiat wośmaje*, (w:) Tegoż: *Blizkasć dalokaha*, HP BHKT, Biełastok 1983, s. 92.
[24] A. Barski, *Josć na swiecie ziamla*, (w:) Tegoż: *Moj bierah*, Mastackaja litaratura, Minsk 1975, s. 14.
[25] J. Czykwin, *Swietły mih*, Mastackaja litaratura, Minsk 1989, s. 44.
[26] W. Szwed, *U rodnaj wioscy*, (w:) Tegoż: *Rodny schou*, Biblijateczka litaratumaha abjadnannia „Bieławieża", Biełastok 1991, s. 9.
[27] A. Barski, *Żniwień słou*, Wydawiectwa HP BHKT, Biełastok 1967, s. 84.
[28] cyt. za: M. Zaleski, *Formy pamięci. O przedstawianiu przeszłości w polskiej literaturze współczesnej*, Wyd. IBL, Warszawa 1996, s. 17.
[29] *Sceptyk z rodowodu. Z Tadeuszem Konwickim rozmawia Izolda Kiec*, „Czas Kultury" 1991, nr 5, s. 10.
[30] zob. M. Zaleski, *Formy pamięci...*, dz. cyt., s. 32.
[31] T. Różewicz, *Poezje zebrane*, Wrocław 1971, s. 297-299.
[32] N. Artymowicz, *Z niespakojnych daroh*, Mastackaja litaratura, Minsk 1993, s. 24.
[33] M. Jurkowski, *Motyw drogi...*, dz. cyt., s. 137.
[34] J. Czykwin, *Starasć*, (w:) Tegoż: *Swietły mih*, Mastackaja litaratura, Minsk 1989, s. 19.
[35] W. Szwed, *Życciowyja sciežki*, Wydawiectwa HP BHKT, Biełastok 1967. s. 48.
[36] A. Barski, *Josć na swiecie ziamla*, (w:) Tegoż: *Moj bierah*, Mastackaja litaratura, Minsk 1975, s. 14.
[37] por. M. Lurker, *Słownik obrazów i symboli biblijnych*. Przeł. K. Romaniuk, Pallotinum, Poznań 1989, s. 46.

Niniejszy tekst stanowi fragment rozdziału pt. „Motyw drogi i wędrowca w twórczości poetów Białoruskiego Stowarzyszenia Literackiego «Białowieża»" z książki „Strażnicy pamięci. Poezja białoruska w Polsce po roku 1956", która ukaże się w roku bieżącym nakładem Wydawnictwa Uniwersyteckiego Trans Humana.

Sprawiedliwość społeczna w różnych epokach

W artykule „Codzienność w PRL" („Czasopis"" nr 9/97) jego autor, Sławomir Iwaniuk, wspomniał o tym, że w PRL nie było „sprawiedliwości społecznej". Marzenie o takiej sprawiedliwości jest tak stare, jak dzieje ludzkości. Po zapoznaniu się z tym tekstem pomyślałem sobie, że opiszę jak kształtowała się owa „sprawiedliwość społeczna" w różnych okresach i w jakim stopniu dotyczyła poszczególnych grup społecznych i narodowych. Jako jej miernik przyjąłem przedwojenną stabilną złotówkę i prawie stabilne ceny: 1 kg żywca wieprzowego kosztował średnio 1 zł, jałówka średnio 100 zł a 100 kg żyta — 12 zł. Nasze porównanie „stopnia sprawiedliwości społecznej" rozpoczniemy od 1915 roku.

Udający się w „bieżeństwo" Białorusin oraz mający obowiązek ewakuowania się Polak, o ile pracowali na państwowej posadzie, otrzymywali od państwa rosyjskiego pomoc w wysokości 30 rubli na każdego członka rodziny. Polska giełda w okresie międzywojennym ustaliła wartość jednego rubla rosyjskiego na ok. 4 zł 30 groszy. Jak więc łatwo wyliczyć, pomoc dla każdego bieżeńca wyniosła 129 zł na głowę. Do tego dochodziły darmowe obiady na stacjach węzłowych, składające się z zupy z dużą ilścią mięsa i drugiego dania oraz suchego prowiantu w postaci czarnego i białego chleba, cukru, kiełbasy i smażonego mięsa. Oprócz tego bieżeńcy otrzymywali prawo do bezpłatnych przejazdów w okresie ich pobytu w Rosji. W Imperium nie było wówczas bezrobocia i nawet podczas wojny pracy było w bród. Dzięki temu każdy, kto sobie nie radził finansowo, mógł dorobić. Tragedia zaczęła się w momencie wybuchu wojny domowej, gdy rząd radziecki przestał pomagać bieżeńcom.

Sprawiedliwość społeczna w Polsce sanacyjnej przedstawiała się następująco. Pan Prezydent RP do 1933 roku włącznie otrzymywał 30 tys. zł miesięcznie, tj. 360 tys. rocznie (co równało się wartości 3.600 młodych krów). Taka suma figurowała w budżecie państwa w oddzielnej pozycji „Uposażenie Prezydenta RP". Oprócz tego, prezydent Ignacy Mościcki miał jeszcze dochody z Fabryki Nawozów Sztucznych w Mościcach.

Znany w okresie powojennym w Białymstoku adwokat Jan Popowski opowiadał mi, że kiedyś sporządzał prezydentowi Mościckiemu akt prawny dotyczący własności tej fabryki. Praca nad dokumentem trwała trzy godziny. Mościcki zapłacił mu za to tysiąc złotych (równowartość dziesięciu krów), a maszynistce za przepisanie 500 zł (pięć krów). W tym czasie dyrektorzy kopalń, czy fabryki celulozy we Włocławku, zarabiali 30 tys. miesięcznie. Pewien mój znajomy, pan J. Domański, który w okresie międzywojennym po ukończeniu studiów pracował jako ekonomista w biurze pewnej kopalni (zarabiał 200 zł miesięcznie), opowiadał że pewnego razu przy wydobyciu węgla zginął górnik. Dyrektor kopalni z funduszu zakładowego zafundował zmarłemu trumnę i zapłacił księdzu. Litościwy dyrektor nie zapomniał również o wdowie i dzieciach-sierotkach. Rodzina, tytułem rekompensaty za stratę jedynego żywiciela, otrzymała sto złotych!

W 1933 r. Sejm zmniejszył dochody prezydenta, ministrów i innych wysokich urzędników państwowych, a podwyższył pobory urzędników niższych. Według „Małego Rocznika Statystycznego" w 1938 r. kształtowały się one następująco: prezydent RP — uposażenie podstawowe 3.000 plus dodatek funkcjny 3.000 plus dodatek stołeczny 250 złotych. Razem — 6.450 miesięcznie. Taką samą sumę otrzymywał marszałek sejmu. Ministrowie otrzymywali średnio 4.300 miesięcznie, wojewoda warszawski 3.225 zł, wojewoda śląski 3.150 zł. Pozostali wojewodowie — po 3.000 zł. Generał broni na stanowisku inspektora armii otrzymywał 3.500 zł miesięcznie, generał dywizji w Warszawie — 2.425 zł. Kapitan bez rodziny — 450 zł, z rodziną — 505 zł, kapral zawodowy samotny 137 zł, żonaty — 167 zł.

Natomiast żołnierz szeregowy raz na dziesięć dni otrzymywał 80 groszy na pastę do butów i machorkę (paczka machorki kosztowała 50 groszy, zaś książeczka bibułki 5 groszy). Chłopak ze wsi, który nie palił, mógł za zaoszczędzone na tym pieniądze pierwszy raz w życiu zrobić sobie zdjęcie. Nie znająca tych realiów redaktorka „Czasopisu" określiła te zdjęcia jako przejaw „ogromnej miłości do WP".

Dla porównania warto przypomnieć, jak kształtowały się pobory wyższych notabli w latach PRL. Dyrektor średniego przedsiębiorstwa zarabiał 7-9 tys. złotych miesięcznie, pierwszy sekretarz komitetu wojewódzkiego PZPR 7-9 tys. zł, pierwszy sekretarz Edward Gierek 22 tys. zł, zaś premier Piotr Jaroszewicz — 23 tys.

Warto wiedzieć jak przedstawiał się dostęp do stanowisk urzędniczych w okresie międzywojennym.

Egzaminy do gimnazjum uczeń mógł zdawać dopiero po ukończeniu sześciooddziałowej szkoły powszechnej (na wsi istniały tylko szkoły czterooddziałowe). Kiedy już się dostało do gimnazjum, trzeba było płacić: za naukę — 360 zł, wpisowego — 20 zł, mundurek — 70 zł, podręczniki — 30 zł, utrzymanie w bursie — 450 zł. Razem w ciągu roku dawało to sumę 930 zł plus koszty przejazdów. Nauka w gimnazjum trwała 4 lata, potem było dwa lata liceum. W tym czasie za wykształcenie jednego ucznia trzeba było zapłacić 5.580 zł. W praktyce oznaczało to, że chłopi, chcący wykształcić swoje dziecko, musieli w tym czasie wyhodować i sprzedać 56 krów.

Po zdaniu matury w kancelarii gimnazjalnej otrzymywało się tzw. „Świadectwo moralności", wydawane przez starostę powiatowego. Pod tą niewinnie brzmiącą nazwą ukryta była opinia polityczna o rodzicach ucznia. Tylko „źli" i „głupi" pseudokomuniści dawali możliwość kształcenia się dzieciom wrogów ustroju i przyznawali im jeszcze stypendia. Rządy sanacji takie dobroduszne nie były. Dlatego po ukończeniu liceum młody człowiek wyznania prawosławnego nie miał sznas na otrzymanie pracy w instytucjach czy zakładach państwowych. Najczęściej było tak, że wracał do domu rodziców i „grał na mandolinie", jak to się wtedy popularnie mówiło. Wyjątek stanowił urząd gminny gdzieś na zapadłej prowincji, ponieważ na stanowiska o grupach zaszeregowania od IX do XII nikt z Polski centralnej nie chciał przyjechać. Natomiast już sekretarz gminy, ponieważ był znacznie lepiej opłacany, był najczęściej obsadzany przez przyjezdnego, z reguły byłego legionistę marszałka Piłsudskiego, bo legionista gen. Dowbór-Muśnickiego miał znacznie mniejsze szanse.

Dzieci żydowskie nie mogły należeć do harcerstwa, dzieci prawosławne mogły, ponieważ nadawały się do wynarodowienia i wcielenia do narodu polskiego i państwowej wiary rzymskokatolickiej. W wojsku żołnierz wyznania prawosławnego mógł dosłużyć się co najwyżej kaprala, lecz zostać z tym stopniem jako żołnierz zawodowy w armii już nie mógł. Za to często spotykało się, że polski oficer brał prawosławnego żołnierza spod Nowogródka za ordynansa, gdyż wiedział, że nic mu nie ukradnie, a jego nudząca się żona nie tak łatwo namówi go do uciech cielesnych.

Żyd i prawosławny nie mógł zostać prokuratorem, sędzią, oficerem policji a nawet policjantem. Oficerem w wojsku mógł zostać tylko w szczególnych przypadkach, np. gdy zdobył jakąś specjalność bardzo potrzebną armii. Lekarz pochodzenia żydowskiego mógł otrzymać stopień oficerski, ale nie mógł pełnić służby czynnej.

Polski oficer nie mógł otrzymać zezwolenia na ślub z dziewczyną wyznania prawosławnego (narzeczona musiała przejść na rzymski katolicyzm). Kandydatka na żonę oficera polskiej armii musiała mieć tzw. „zabezpieczenie majątkowe", co w praktyce oznaczało, że musiała mieć bogatych rodziców. Polski oficer nie mógł być spowinowacony z hołotą, która miała zazwyczaj lewicowe poglądy. Oficer nigdy nie otrzymałby

■ PRENUMERATA

Tradycyjnie o tej porze podajemy warunki prenumeraty redakcyjnej „Czasopisu" na następny rok. Jest to najprostszy i najwygodniejszy sposób umożliwiający systematyczne otrzymywanie naszego pisma. Wystarczy wpłacić na podane konto bankowe, np. za pomocą poniższego przekazu, odpowiednią kwotę pieniędzy.

Zamówione egzemplarze będziemy wysyłać pocztą (wydrukowane obok ceny zawierają już koszt przesyłki).

Od nowego roku „Czasopis" będzie kosztował 1 zł 80 gr.

OKRES PRENUMERATY	CENA					
	1 egzemplarz każdego numeru			5 i więcej egz. każdego numeru		
	Kraj	Europa	USA, świat	Kraj	Europa	USA, świat
KWARTAŁ	9 zł	3 USD	4,5 USD	6 zł za1egz.	2,5 USD za 1 egz.	4 USD za 1 egz.
PÓŁ ROKU	18 zł	6 USD	9 USD	12 zł za1egz.	5 USD za 1 egz.	8 USD za 1 egz.
ROK	36 zł	12USD	18 USD	24 zł za1egz.	10 USD za 1 egz.	16 USD za 1 egz.

Odcinek dla poczty

Zł .... słownie ....

....

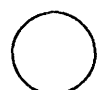
Wpłacający ....

....

adres ....

....

Stowarzyszenie Dziennikarzy Białoruskich
15-001 Białystok, ul. Suraska 1
PBK I/O Białystok
nr rach. 370406-6262-2700-1-74



datownik podpis przyjmującego pobrano opłatę

Odcinek dla pos. rach.

Zł .... słownie ....

....

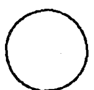
Wpłacający ....

....

adres ....

....

Stowarzyszenie Dziennikarzy Białoruskich
15-001 Białystok, ul. Suraska 1
PBK I/O Białystok
nr rach. 370406-6262-2700-1-74



datownik podpis przyjmującego pobrano opłatę

Odcinek dla wpłacającego

Zł .... słownie ....

....

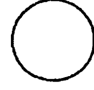
Wpłacający ....

....

adres ....

....

Stowarzyszenie Dziennikarzy Białoruskich
15-001 Białystok, ul. Suraska 1
PBK I/O Białystok
nr rach. 370406-6262-2700-1-74



datownik podpis przyjmującego pobrano opłatę

zezwolenia na ślub z Żydówką czy córką prawosławnego duchownego.

Zgodnie z danymi cytowanego wcześniej „Małego Rocznika Statystycznego" za 1938 rok, w Polsce zamieszkiwało 34,2 proc. obywateli wyznania innego niż rzymskokatolickie. Ponieważ Konstytucja z 1935 r. przyznawała równe prawa mniejszościom narodowym i religijnym, powinno z tego wynikać, że co trzeci urzędnik i oficer powinien być wyznania innego niż rzymskokatolickie. Tymczasem, np. wśród oficerów rozstrzelanych w Katyniu, tylko ok. 2 proc. było narodowości niepolskiej. I tyle ich naprawdę było w całej polskiej armii.

W latach dwudziestych sytuacja w tym względzie była nieco inna. W polskich urzędach i wojsku zostało jeszcze sporo urzędników i oficerów, którzy ukończyli szkoły rosyjskie i byli życzliwie ustosunkowani do mniejszości. Już w latach trzydziestych, ze względu na wiek, przenoszono ich do województw zachodnich.

Sytuację ludności prawosławnej polepszał nieco fakt, że sporo fabryk było w rękach żydowskich. Żydzi nie dyskryminowali prawosławnych, gdyż sami należeli do prześladowanej mniejszości.

W Białymstoku często można było spotkać napisy tzw. „narodowców", np. „Falanga jest, Falanga czuwa, Falanga Żydów z Polski usuwa". Do akcji antyżydowskich prawosławni z reguły wciągać się nie dawali. I mieli rację, bo polscy narodowcy często opowiadali: „Teraz będziemy bić Żydów, a potem Ruskich", mówiąc o „ruskich" myśleli o Rosjanach, Białorusinach i Ukraińcach.

Tak w dużym skrócie wyglądała sprawiedliwość społeczna w niezbyt odległej przeszłości. W Polsce międzywojennej autor wspomnianego na początku artykułu, podobnie jak inni o takich nazwiskach, nie tylko nie miałby możliwości ukończenia studiów, ale i pracy w archiwum państwowym. Były to czasy, gdy sklepy były pełne towarów, ale dzieci wiejskie na „Kresach Wschodnich" tylko dwa razy w roku próbowały cukru: na Wielkanoc i Boże Narodzenie.

Co zaś się tyczy dwulicowych notabli byłej PRL, to nie można ich nazywać komunistami, bo swe prawdziwe oblicze już pokazali. Chociaż prawdą jest, że w porównaniu z uposażeniami wysokich osobistości Polski przedwojennej, byli nędzarzami. Pewnie dlatego, gdy tylko nadarzyła się okazja, szybko zmienili ustrój z socjalistycznego na kapitalistyczny, który pozwala na bezkarne bogacenie się. A wszystko dlatego, że kapitalizm o sprawiedliwości społecznej, ani w teorii, ani w praktyce, nigdy nie wspominał.

M. Kopczuk, ur.w 1923 r.
Białystok

■ HUMOR ZE WSCHODU

Pijany kierowca jedzie pod prąd drogą jednokierunkową. Zatrzymuje go milicjant.
— Dokąd pan się tak śpieszy?
— Sam nie wiem, ale obawiam się, że się spóźniłem, bo wszyscy jadą już z powrotem.

Dzwonek na lekcję. Do klasy wchodzi nauczycielka. Ociężale siada na krzesło, obejmuje dłońmi głowę i cicho pyta uczniów:
— Jaką lekcję mamy teraz, dzieci?
— Matematykę.
— No to rozwiążcie takie zadanie: „Dwie młode kobiety wypiły dwie butelki wódki. Pytanie: Po jakie licho potrzebna im była jeszcze butelka wina?"

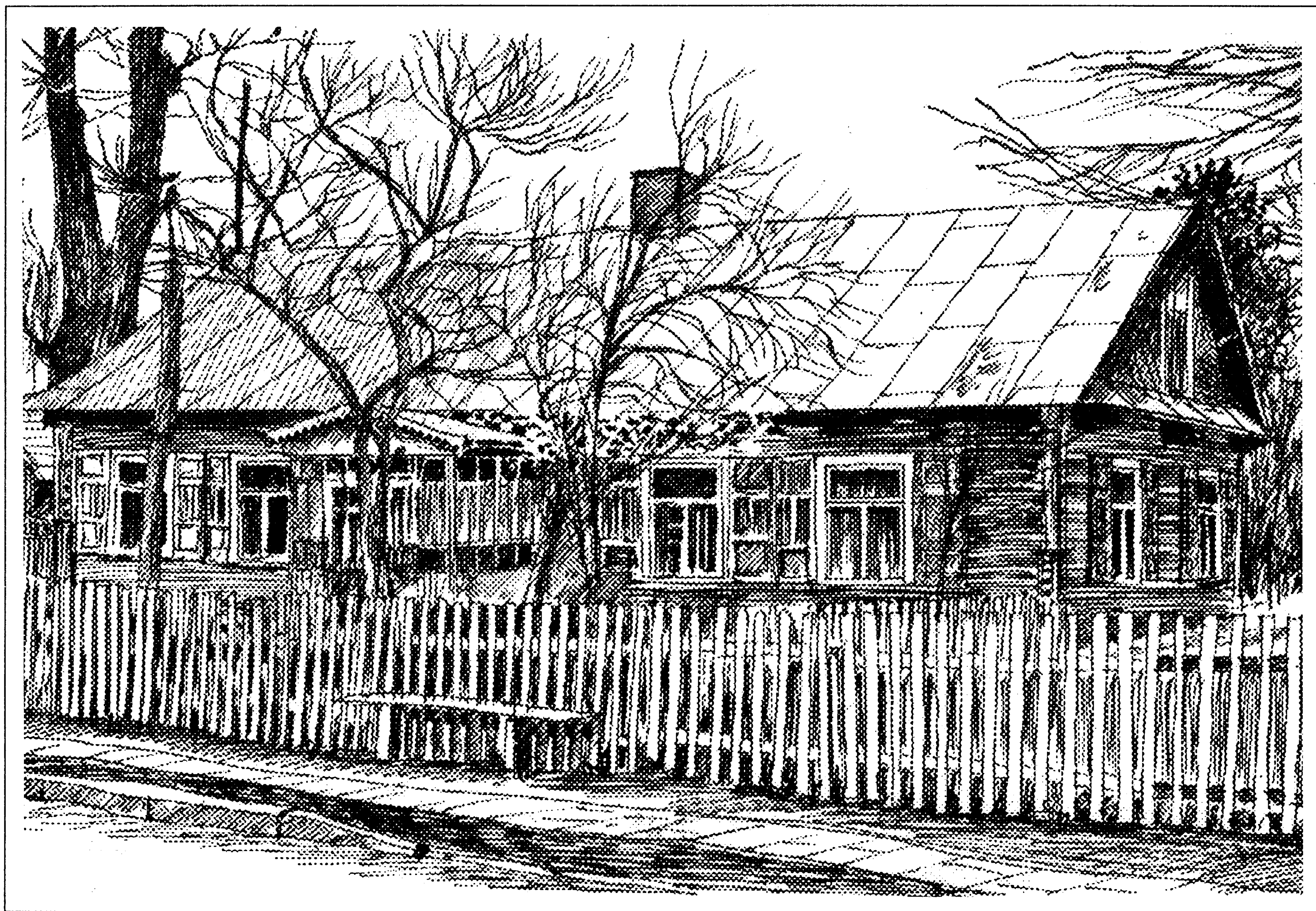
Czwartoklasiście Miszy pani kazała przyprowadzić do szkoły ojca.
— Pański syn, gdy go przywołałam do odpowiedzi, podał mi swój zeszyt, w którym między kartkami były trzy dwudziestotysięczne banknoty.
— Tak?
— On proponował mi 60 tysięcy rubli! — wrzasnęła nauczycielka.
— No tak.
— Czy pan nie rozumie?! — rozzłościła się kobieta — pański syn dawał mi łapówkę w wysokości 60 tysięcy rubli!
— A skąd on weźmie więcej? — zdziwił się rodzic. — Za każdą piątkę daję mu pięćdziesiątkę. Ale on i tak dostaje tylko trójki i czwórki. To skąd weźmie więcej rubli?
— No wie pan...
— A mówią, że u nas nauka jest bezpłatna — burknął rodzic i sięgnął po portfel z pieniędzmi. — Ile mój syn jest pani winien?
— Coś pan, chyba pan żartuje! Ja miałabym od pana brać ruble?!
— A więc to tak! — oburzył się mężczyzna. — Dolarów, droga pani, to ja, niestety, ale nie mam.

Koło kiosku.
— Proszę zapalniczkę.
— I po co tak krzyczeć, nie jestem głucha. Z filtrem czy bez?

We wsi Naliwajki mieszkał dziadek Wasil, który słynął z dobrego „węchu". Pewnego razu dwaj jego sąsiedzi postanowili urządzić „wieczorek półliteracki". Ani się obejrzeli, jak w oknie zamajaczyła znajoma postać dziadka Wasila. A za sekundę usłyszeli:
— Dzień dobry! Mój nos wie, gdzie mnie prowadzi... — znacząco wciągnął powietrze.
Ale widząc obojętność w oczach potencjalnych kompanów, zawrócił spod drzwi.
— Wybaczcie, że wam przeszkodziłem. Bywajcie zdrowi, kiedy indziej was odwiedzę...
— Ale coś ty, drogi sąsiedzie. Zachodź do nas, bardzo prosimy. Wystarczy tego dobra...
Posadzili dziadka po środku i napełnili szklanki (tylko dwie).
— Na zdrowie, kumie!
— No to na zdrowie!
Sąsiedzi zakąszają, żartują, śmieją się. Dziadek Wasil poczuł się w końcu nieswojo i podniósł się od stołu.
— Coś ty, Wasil. Dokąd to się śpieszysz. Zdążysz jeszcze — posadzili dziadka z powrotem.
Napełnili drugą kolejkę i wznoszą toast:
— Żebyś ty, Wasil, żył sto lat!
Adresat tych życzeń staje się coraz bardziej nerwowy, znów próbuje wstać. Ale „dobrzy" kompani sadzają go siłą z powrotem.
— Co, nasza kompania tobie się nie podoba? Przecież my ciebie tak lubimy — obejmują starego i całują w policzki.
— Puśćcie chłopcy! Tam w domu żona czeka...
— Ty myślisz, że tylko twoja czeka?
— O, właśnie! Wypijmy za twoją żonę!
Znów napełniają tylko swoje szklanki i stukają się.
— Za sąsiadów, którzy nas nigdy nie zapominają!
Dziadek Wasil traci cierpliwość.
— Chłopcy, nie mam czasu...
— A co będziesz czesał?
— Puśćcie mnie. Zaszedłem tylko za sprawą.
— I my za sprawą. Ty nas nie miej za durniów! Nalewaj, Piotrze!
Przyjaciele jeszcze raz „osuszyli" szklanki, zapomnieli o gościu, zaczęli się przytulać, całować, śpiewać...
Wasil w końcu wyczołgał się spod stołu i dał susa w kierunku drzwi. W taki sposób stracił swój czujny „węch".

ХРОНІКА

МЯСЦОВАСЦІ



Мал. У. Петрука

РУДУТЫ

У час, калі на ўсход ад ракі Орлянкі расцягаліся лясы Белавежска-Камянецкай пушчы, падарожнікі, хочучы дабрацца з Бельска ў Камянец ехалі праз Кошэліе ў напрамку Грабаўца і Войнаўкі. Рудуты былі на шляху месцам адпачынку для стомены коней (яшчэ ў 1577 г. знаходзілася тут адзіная на ўсю арлянскую валасць карчма). Жыхары Рудут ды суседняй Рудкі прапанавалі купцам пераплаўленую руду, здабытую ў надарлянскіх лугах. Ад руды менавіта мясцовасць займела сваю назву.

Ужо на пачатку XVI ст. у Рудутах знаходзіўся вадзяны млын, якім гаспадарыў Васька Кімбар. Праз сто гадоў вёска мела два млыны, фальварак, заснаваны пры рачулцы Зялёнай ды філіяльны фальварак у Бараноўцях. Непадалёк рудутаўскага фальварку знаходзіўся млын „Якімоўшчына", якім у 1655 г. валодаў Давід Валешчук. Другі млын з двумя коламі быў уласнасцю Пятра Буратынскага. Кожны млынар меў абавязак выкарміць па адным вепруку ад кожнага млынскага каменя і перадаць яго ў двор. Тады ж, напярэдадні „шведскіх" войнаў Рудуты налічвалі 52 дамы. Пасля войнаў, у 1663 г. заселеных было іх не больш пятнаццаці. З 23 валок вясковай зямлі пуставала ажно 20,5. Дэмаграфічна-гаспадарчыя страты былі аднымі з найбольшых у арлянскай валасці. Млыны пратрывалі час ліхалецця . У 1670 г. малолі ў іх Язэп Буратынскі ды Давід Глінскі. Адзін з гэтых млыноў на працягу наступных дзесяцігоддзяў занепаў. У 1807 г. дзейнічаў наогул толькі адзін, які быў да таго ж адзіным млынам у арлянскай валасці.

Асобная старонка звязвае Рудуты з гісторыяй арлянскага кальвінскага збору. У 1693 г. княгіня Людвіка Радзівілава пераказала а. Сэнёру Заблудаўскаму, які тады апекаваўся арлянскім зборам, дзве валокі зямлі на Рудутах. Фактычна гэтую зямлю дзяржаў род Кавэцкіх.

У 1832 г. Рудуты налічвалі 34 хаты з 190 жыхарамі, былі трэцяй па велічыні вёскай арлянскай валасці. У 1900 г. налічвалі 44 дамы. Тады ж у Рудутах існавала заснаваная ў 1884 г. школа граматы. Ужо ў змененай форме, дзейнічала яна яшчэ ў 1958. Тады навучалася ў ёй 58 дзяцей. Не дзіва — засяляла тады Рудуты больш за 350 жыхароў.

Мікола Сахарэвіч